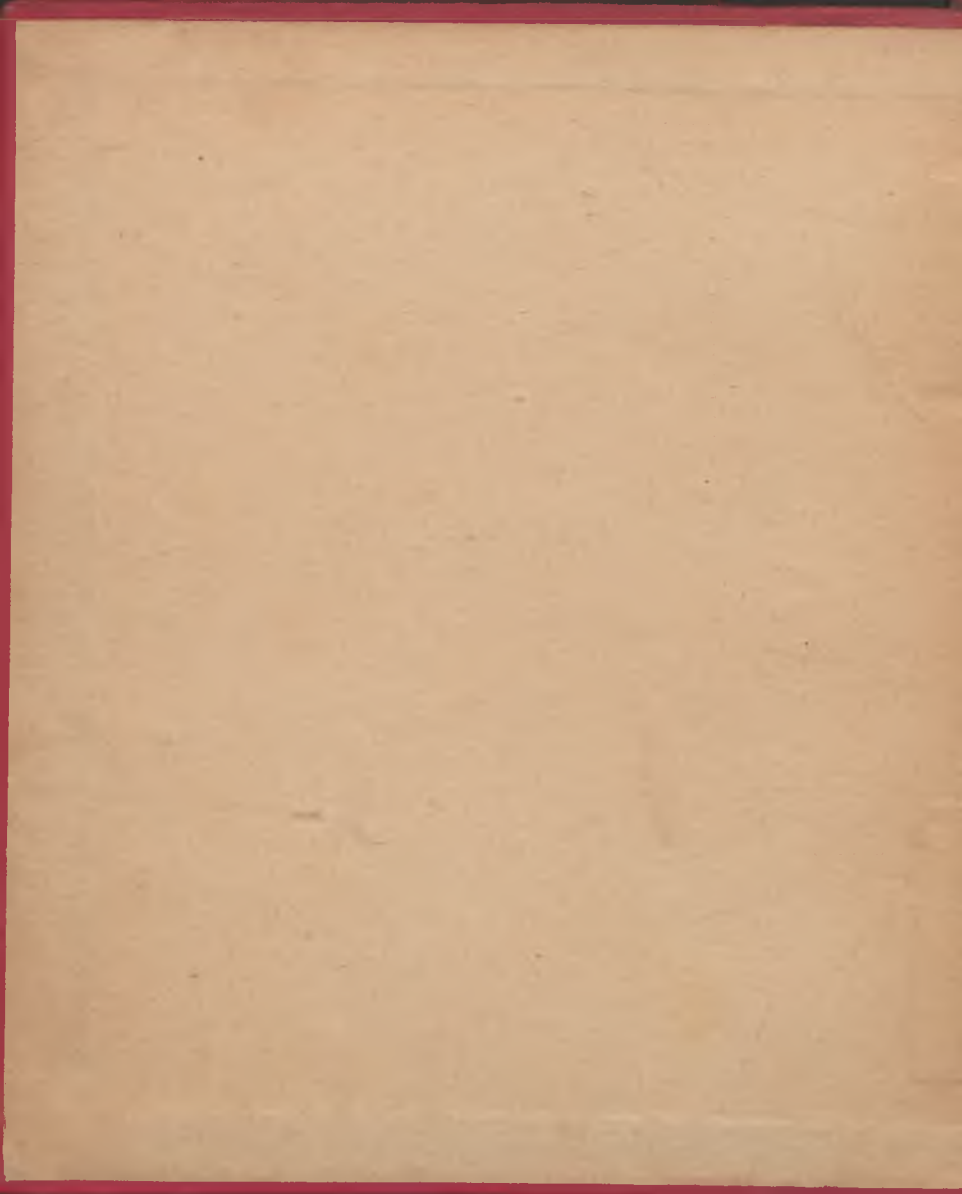


Marek Twain.



KSIĄŻĘ  
I BIEDAK

---







KSIAŻĘ I BIEDAK.



MAREK TWAIN.

---

# KSIĄŻĘ I BIEDAK.

POWIEŚĆ.



WARSZAWA.

NAKŁAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”.

1908.

v. 142 / 82



11070

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.





MAREK TWAIN,  
znakomity pisarz humorysta amerykański.



## ROZDZIAŁ I.

---

W drugiej połowie szesnastego wieku, w starej części miasta Londynu, jesienny poranek, biednej bardzo rodzinie nazwiskiem Canty, urodził się synek, którego przybycie na świat z powodu wielkiego ubóstwa, w nikim zbytniej radości nie obudziło.

Tegoż samego dnia, w rodzinie królewskiej z rodu Tudorów, przyszedł na świat także chłopczyna, którego znów cała Anglia wyczekiwała niecierpliwie. Ludzie zaledwie się znający z widzenia, dowiedziawszy się o tej radosnej nowinie, rzucali się sobie na szyję i ściskali ze łzami: wielcy i mali, bogacze i biedacy

ucztowali, tańczyli, śpiewali uradowani, i to przez kilka z kolei dni i nocy.

We dnie Londyn przedstawiał wspaniały widok. Na wszystkich balkonach i szczytach domów, powiewały piękne chorągwie; świetnie przybrane orszaki odbywały procesjonalne pochody po wszystkich ulicach miasta. W nocy po rogach ulic płonęły sute ogniska, a tłum cisnący się około nich, wydawał nieustannie wesołe, radosne okrzyki. W całej Anglii o niczem innem nie mówiono, tylko o nowonarodzonym Edwardzie Tudor, noszącym już nazwę księcia Walii, który spowity w ałasowe pieluszki, przypatrywał się z zdziwieniem pięknym panom i paniom, otaczającym jego kolebkę.

O drugim chłopcu, o biednym Tomku Canty, uwięzionym w skromne szmaty, który ni pytany, ni proszony, jakby cegła z dachu, spadł na głowę biednej rodzinie i tak już zbyt licznej, nikt nie mówił, ani się nim zaprzętał.

W chwili naszego opowiadania, Londyn liczył już piętnaście wieków istnienia. Jak na owe czasy, był już wielkiem miastem, i jak jedni podają posiadał sto, inni dwakroć sto tysięcy mieszkańców. Ulice były

bardzo wąskie, brudne i kręte, szczególnie w pobliżu mostu zwanego London Bridge, gdzie właśnie mieszkała rodzina Tomka.

Domek drewniany, zajęty przez ojca Tomka, leżał w głębi zaułka, zwanego Ofal Court. Była to nędzna, chyląca się do upadku rudera, w której rodzina Cantych mieściła się w dwóch izdebkach pod strychem. Ojciec i matka oraz babka zajmowali jedną z nich, a Tomek i dwie starsze jego siostry, Betty i Nana—drugą.

W pośród tego biedactwa, rojącego się w domostwie, zabłąkał się zacny i dobry starowina, żadnych z nimi nie mający stosunków. Był to kapłan katolicki, któremu rząd zabrał wszelkie fundusze utrzymania. Często przywoływał do siebie dzieci i czytał je odróżniać, co jest złe, a co dobre. Prócz tego ojciec Andrzej nauczył Tomka czytać i pisać, a nawet początków łaciny. Chciał także uczyć obie dziewczęta, ale te obawiały się, aby zabobonne towarzyszki nie usunęły się od nich, nie wyśmiały za pobieranie tak pańskiej edukacji.

Czytywał Tomek różne księgi księdza Andrzeja, który objaśniał mu ich myśl przewodnią i znaczenie,

i to sprawdziło powoli znaczną zmianę w całej jego istocie. Osoby, widziane oczami wyobraźni, były tak piękne, iż w obec nich zaczynał się wstydić swoich lachmanów i nieporządku.

Dzięki zaś czytaniu i nieustannemu rozmyślaniu o przepychu życia książęcego, stopniowo, bezwiednie, sam przed sobą odgrywał rolę księcia, skutkiem czego ruchy jego i wysłowienie stały się poprawniejsze, zaczął przybierać jakieś pańskie miny, z ogólnem zdumieniem i uciechą swych kolegów. Jednocześnie zaczął zyskiwać coraz większą przewagę na otaczających go towarzyszy, budząc w nich coraz większy podziw, połączony z pewnem uszanowaniem. Dzieci rady jego i przestrogi powtarzały starszym, dość, że po niejakiem czasie Tomek, niby książę, miał swój dwór książęcy; najlepsi jego koledzy stanowili rodzinę królewską, gwardyę honorową, szambelanów i lordów. Przez cały dzień *malowany* książę, odbierał honory przepisane przez niego, o jakich dowiedział się z książek i bajek, i wydawał rozkazy odnoszące się do wojsk jego, okrętów i dygnitarzy.

## ROZDZIAŁ II.

---

Tomek wstał i wyszedł głodny z domu, ale za to w głowie roily się świetne, we śnie widziane obrazy. Szedł, nie myśląc, dokąd idzie, aż znalazł się po za obrębem Londynu, gdzie z jednej strony ciągnął się dość długi szereg domów, z drugiej rozrzucone tylko były tu i owdzie pałace, otoczone rozległemi, aż do brzegów rzeki dochodzącemi posiadłościami.

Mijając te okazałe budowle, Tomek doszedł aż do Westminsteru. Ze zdumieniem przyglądał się temu gmachowi, najeżonemu groźnemi bastyonami i wieżycami; szerokiej kamiennej bramie ze złożoną kratą,

przepysznym kolosalnym lwom granitowym, oznakom i godłom królewskiej potęgi i władzy. Czyliż nareszcie miałyby się urzeczywistnić jego tak długo żywione marzenie? Tak, był to rzeczywiście pałac królewski, lecz czyż danem mu będzie zobaczyć w nim prawdziwego księcia? O, gdybyż niebo spełniło tak gorące jego pragnienie!

Po obu stronach wchodowej bramy, stały dwa żywe posagi, to jest dwóch sztywnych nieruchomych żołnierzy, pokrytych od stóp do głów błyszczącą stalową zbroją. W pewnej od nich odległości, stały gromadki mieszkańców wsi i miasta, oczekując sposobności zobaczenia jakiegoś objawu królewskiej wielkości. Co chwila przez inne bramy wyjeżdżały i wjeżdżały wspinałe karety, zajęte przez najpierwsze znakomitości; służba nawet lśniła od galonów i złota.

Biedny, obdarty Tomek zbliżył się cichaczem, przesunawszy się przed strażą. Serce biło mu gwałtownie, ale tajemna nadzieja podtrzymywała jego odwagę. Wtem nagle na widok tego, co dojrzał przez kratę, o mało nie krzyknął z radości.

W dziedzińcu pałacowym stał młody chłopiec, jego wieku, smagły, zręczny i silnie zbudowany. Miał



na sobie wytworne szaty, a nosił je z taką swobodą! Przy boku miał szpadę z rękojeścią wysadzoną drogiemi kamieniami; na nogach ciżmy z czerwonemi napiętkami, na głowie okrągły szkarłatny kapelusik ze spuszczonei piórami. Koło niego stało kilku świetnie ustrojonych panów, stanowiących zapewne przyboczną jego służbę. O! był to nieomylnie książę, prawdziwy i żywy, wszelka wątpliwość była niemożliwą. Tak więc usilne pragnienie biednego chłopca, zostało nareszcie spełnione.

Tomek stał zachwycony: tchu brakło mu w piersiach, ręce opadły, ręce się rozszerzyły. Prawie odchodząc od zmysłów, o jednym tylko myślał, jak najwięcej zbliżyć się do księcia, aby mógł lepiej mu się przypatrzeć. Sam nie wiedząc jak, znalazł się tuż przy kracie i twarz przyłożył do niej. Lecz w tejże chwili żołnierz pochwycił go za kark i odrzucił jak piłkę, wołając:

— Pójdź precz, mały próżniaku!

Pospólstwo przyklasnęło, głośnym wybuchając śmiechem, ale młody książę oburzył się i rozgniewał. Czoło jego poczerwieniało, oczy zaiskrzyły się i zawołał:

— Zuchwalcze! jak śmiesz poniewierać tak tego chłopczynę w mojej obecności? Jak śmiałeś podnieść rękę na anglika, choćby to był najostatniejszy z podanych mego ojca?.. Otworzyć kratę i wypuścić chłopca!

Na rozkaz ten, tłum zgromadzony zawołał: „Niech żyje książę Walii!“ strażę zaprezentowały broń, podnosząc w górę halabardy, drzwi się otwarły i mały *malowany książę* z Offal Court, pobiegł do prawdziwego księcia z Westminsteru i wyciągnął do niego rękę.

— Musisz być zmęczony i głodny? — zapytał Edward Tudor. — Chodź ze mną!

Rzekłszy to, Edward wprowadził Tomka do wspólnie urządzonego pokoju, powiadając, że to jego pracownia. Następnie rozkazał podać suty obiad, że Tomek nawet nie wiedział, jak się zabrać do noża i widelca.

Młody książę z delikatnością, odpowiednią jego wychowaniu, odprawił służbę, aby nie zwiększać zakłopotania ubogiego swego gościa, poczem usiadł przy nim i podczas gdy tenże zajadał smacznie, rozmawiał z nim uprzejmie.

Tomek opowiadał księciu o swem życiu i zaba-

wach. Książę był bardzo zaciekawiony, gdyż pierwszy raz słyszał o podobnych rozrywkach.

— Bawimy się w piasku. Sypie się duża kupa i w niej się zagrzebujemy...

— Wyrzekłbym się wielu przyjemności, aby to zobaczyć choć raz jeden! A! gdybym mógł ubrać się tak jak ty, chodzić boso i tarzać się w piasku, aby mi nikt nie przeszkadzał, jakże byłbym szczęśliwy!..

— Ja znowu pragnąłbym, choćby raz tylko, być tak pięknie jak pan ubranym..

— Chciałbyś tego? a więc dobrze! Zdejm swoje ubranie i włóż moje, tylko śpiesz się a ubawimy się wybornie, każdy według swego życzenia. Wieczorem zamienimy znów ubranie i nikt się o tem nie dowie.

Jakoż w kilka minut później, mały książę Walii przywdział lachmany Tomka, a mały biedak wspaniałe szaty książęce. Stanąwszy przy sobie, gdy przejrzeni się w zwierciadle, zdawało się, że żadna w nich nie zaszła zmiana. Zdumieni przyglądali się sobie z osłupieniem, patrzyli to w zwierciadło, to na siebie, aż nareszcie zakłopotany książę przerwał milczenie:

— No, cóż powiesz na to?

— Albo ja wiem...

— Nie śmiesz powiedzieć, a więc ja powiem. Masz takie, jak moje włosy, oczy, wzrost, ruchy, głos, cerę i rysy twarzy. Gdyby nas obu rozebrać, nikt na świecie nie umiałby powiedzieć, który z nas jest księżę Walii, a który Tomek Canty. Teraz, mając na sobie twoje odzienie, zdaje mi się, że czuję to silne uderzenie, jakie ci wymierzył ten niegodziwy żołnierz. Pewny jestem, że zrobił ci sińca.

— O! to mała rzecz, jestem do tego przyzwyczajony.

— No, to siedźże tu w pałacu dopóki nie wrócę.

To powiedziawszy, mały księżę zabrał jakiś przedmiot, leżący na stole i wyszedł. Przeszedł w odzieży biedaka korytarze i dziedziniec pałacowy, i doszedłszy do kamiennej bramy, oparł ręce na kracie, jakby chciał ją wyłamać, poczem krzyknął rozkazująco:

— Otwierać!

Żołnierz, który tak nielitościwie obszedł się z Tomkiem, prędko spełnił rozkaz, ale gdy księżę przechodził koło niego, nie poznając go naturalnie w podobnem przebraniu, tak silnie uderzył biedaka pięścią w kark, że ten aż się przewrócił.

— Masz, nędzny żebraku! Oto zapłata za to, że przez ciebie zostałem wyłajany przez księcia Wallii.

— Nędzniku, ja jestem księciem Wallii! — zawołał ksiązę,—osoba moja jest świętą!.. Zostaniesz powieszony za to, że odważyłeś się podnieść na mnie rękę...

Żołnierz sprezentował broń, mówiąc z drwiącą miną:

— Witaj, ksiązę Wallii!

Poczem dodał szorstko:

— Ruszaj precz, odrapańcze!

Z tłumu rozległa się w jednej chwili burza oklasków, krzyków i wymysłów, zaczęto gonić za chłopcem, krzycząc z szyderstwem:

— Rozstępujcie się przed jego wysokością! Z drogi! Idzie ksiązę Wallii!

Po dość długiem ściganiu goniący tłum zatrzymał się, dając spokój księciu. Dopokąd, nie posiadając się z gniewu, ksiązę odgrażał się i z miną pełną godności wydawał rozkazy, pobudzając obecnych do szalonego śmiechu, bawił ich bardzo i biegli za nim; lecz gdy zamilkł ogromnie zmęczony, przestał być pocieszonym, więc wszyscy przestali go ścigać.



Uspokojony, młody książę obejrzał się dokoła, ale nie mógł poznać, gdzie się znajduje. Tyle tylko wiedział, że nie wyszedł z granic miasta.

Przed zapadnięciem nocy dostał się do środka City, starego miasta. Wkrótce spotkali przebranego księcia jacyś źli ludzie i bardzo go pobili, ponieważ nie uciekał przed nimi.

Światła zaczynały gasnąć, deszcz padał, wiatr zaczął się zrywać, noc zapowiadała się przykra i burzliwa. Książę, spadkobierca tronu, pozbawiony schronienia, szedł i szedł zapuszczając się coraz głębiej w sieć zaułków, w których roily się legowiska nędzy i występku. Wtem jakiś pijany drab chwycił go za kołnierz.

— A! mam cię hultaju!— krzyknął— włóczysz się po nocy, a pewny jestem, że nie przynosisz ani grosika! Chyba nie nazywam się Jan Canty, jeśli nie zbiję cię na kwaśne jabłko!

Książę wyrwał mu się prędko, otrząsnął bezwiednie ramię sprofanowane jego dotknięciem i zawołał, unosząc się:

— Czy to być może?... jesteś więc jego ojcem?... Chwała Bogu! odprowadzisz mnie zatem, a jego przyprowadzisz.

— *Jego* ojcem? Cóż to ma znaczyć? Nie jestem *jego*, ale *twoim* ojcem, i zaraz ci tego dowiodę.

— Och! nie spieraj się pan i nie trać czasu, jestem pobity, znużony, kroku dalej postąpić nie mogę. Odprowadź mnie do króla, ojca mego, a dam ci tyle złota, ile go nawet we śnie nie widziałeś. Wierzaj mi, dobry człowieku, mówię ci szczerą prawdę, nie kłamię, możesz być tego pewny. Odprowadź mnie, jestem księżę Wali!..

Jan Cauty patrzył z osłupieniem na księcia, zmierzzył go okiem od stóp do głów i zamruczał:

— Jesteś stokroć większym warjatem, niż wszyscy razem zamknięci w domu obłąkanych!

I znowu, chwytając go za kark, dodał z gniewem:

— Czyś warjat, czy nie, to nicponiu babka Cauty i ja tak ci wygarbujemy skórę, że popamiętasz do grobowej deski!

Uniesiony gniewem, księżę szarpnął się, chcąc odejść, ale Jan Cauty porwał go wpół i podniósł tak łatwo, jakby snopek słomy i wraz z nim wszedł na podwórze, odprowadzony przez gromadę przechodniów.

### ROZDZIAŁ III.

Tymczasem Tomek, zostawszy sam w pracowni księcia, zaczął korzystać ze swej szczęśliwej przygody. Stając przed zwierciadłem pochylał się, prostował, przybierał rozmaite pozy, podziwiał pański swój ubiór i bogactwo klejnotów, chodził wyniośle z podniesioną głową i naśladował dworskie ruchy księcia, przypatrywał się sobie z upodobaniem. Następnie wyjął z pochwy piękną szpadę, zaczął ją opuszczać i zginać ostrze, potem podnosić ku piersiom, niby oddając pokłon, jak to widział kilka tygodni temu u jakiegoś generała. Następnie zaczął się przyglądać kosztownym obiciom pokoju i zdobiącym go dziełom sztuki;



siadał z kolei na wspaniałych fotelach, i cóżby nie dał, aby mieszkańcy Offal Court mogli zobaczyć, choćby przez szparę, jak bogato jest ubrany, jaki przepych i okazałość go otaczają. I pytał siebie, czy mu też uwierzą, gdy im będzie opowiadał tę cudowną przygodę, powróciwszy do nich, lub czy tylko będą wzruszać będą ramionami, myśląc sobie, że rozbijała jego wyobraźnia pomieszała mu zmysły.

Wtem przyszło mu nagle na myśl, że księżę wszedł już dość dawno, i zaczął czuć się samotnym i odosobnionym; nie patrząc już na wszystkie otaczające go piękności, wyciągnął szyję i nastawił uszu, czy kto nie nadchodzi. Gdyby też kto wszedł i zastał go ubranego w suknie księcia! Kto wie, czyby go nie powieszono natychmiast, odkładając na później przeprowadzenie śledztwa. Przestрах jego wzmagał się z każdą chwilą, drżał niepewny i po cichu otworzywszy drzwi, wiodące do przedpokoju, chciał przez nie wymknąć się, aby odszukać księcia i przyzwać jego pomocy. Zaledwie jednak głowę pokazał, sześciu wspaniale strojonych panów, przeznaczonych do służby księcia i młodych, ślicznych paziów, synów znakomitych rodzin, zerwało się z krzesel i z ukłonem pochyliło się ku ziemi.

Przestraszony Tomek cofnął się nagle, prędko zamykając drzwi za sobą.

— Ci ludzie wyraźnie żartują sobie ze mnie! — myślał sobie—teraz wszystko się wyda i zostanę powieszony. Ach! jakżem nieszczęśliwy, że dobrowolnie na śmierć się naraziłem.

I niespokojny, drżący, przestraszony, zaczął chodzić po pokoju, nasłuchując najlżejszego szmeru.

Wtem nagle drzwi się otworzyły i paż zameldował:

— Lady Joanna Grey!

Młoda, śliczna dziewczynka prędko podbiegła ku niemu i nagle zatrzymała się przestraszona, pytając:

— Co się stało, milordzie?

Tomkowi tchu zabrakło w piersiach, ostatnim wysiłkiem zaledwie zdołał wyszeptać:

— O! miej pani litość nade mną!... Ja nie jestem milordem, jestem tylko biedny Tomek Canty z Ofial Court. Błagam pani, dozwól mi widzieć się z księciem; nie żądam nic więcej, tylko niech mi zwróci moje odzienie i dozwoli wyjść ztąd cało! O! przez litość, ratuj mnie pani! ocal mi życie!...

I rzucił się przed nią na kolana z błagalnym spojrzeniem, ze złożonemi rękami.

Lady Grey przeraziła się niewymownie.

— Co czynisz, milordzie!... ty na klęczkach przedemną!?

I wybiegła przestraszona.

Tomek znękany padł na krzesło; szepcząc:

— Przyjdą teraz z pewnością i zawloką mnie do więzienia... Niema ani ratunku, ani nadziei!

Gdy tak siedział osłupiały z przestachu, przerażające pogłoski zaczęły się rozchodzić po pałacu między służbą, panami i paniami należącemi do dworu, pod wielkim sekretem, że młody książę zwaryował.

I wkrótce we wszystkich wspaniałych apartamentach dworskich zbierały się mniejsze i większe gromadki lordów i ladych, dworaków i służby dworskiej, i wszyscy rozmawiali z sobą po cichu o tym smutnym wypadku.

Wtem wśród gromadek tych ukazał się wspaniale przybrany dostojnik królewski i uroczystym głosem przeczytał następujące zawiadomienie:

„W imieniu króla!

Polecamy i rozkazujemy wszystkim i każdemu z osobna pod karą śmierci, aby nie wazyli się rozpowiadać, ani słuchać, ani rozprawiać o bezzasadnych i niedorzecznych pogłoskach, jakie rozeszły się w pałacu, co ogłaszam z polecenia i w imieniu króla“.

I szepty ustały w mgnieniu oka, jak gdyby wszyscy szepczący nagle oniemieli, i jednocześnie niemal głuchy szmer rozległ się w korytarzu:

— Otóż i książę, książę idzie!...

Biedny Tomek zaledwie szedł, podtrzymywany przez dwóch idących obok niego wysokich dygnitarzy. Zgromadzeni witali go głębokim ukłonem, i on także próbował się odklonić, spoglądając nieśmiało na to dziwne nań otoczenie, wzrok jego jednak zdradzał niezwykle smutek i przestrah. Za nim szedł doktor dworski i kilku dworzan.

W parę minut potem, Tomek wprowadzony został do obszernej komnaty i drzwi za nim zamknięto. Wkoło niego stali panowie, którzy go tu przyprowadzili, a przed nim, w pewnem oddaleniu, leżał na łóżku

człowiek bardzo wysoki i otyły, z szeroką, nabrzmiąłą twarzą, z ostrem i surowem spojrzeniem. Wielką jego głowę pokrywały siwe włosy, duża, siwa broda spadała na piersi. Miał na sobie strój bogaty, ale stary i miejscami nieco wytarty. Jedna jego mocno spuchnięta i obandażowana noga spoczywała na poduszce.

Zapanowało głuche milczenie; z wyjątkiem leżącego, wszyscy kornie schylili głowy. Ten chory, prawie nie mogący się poruszyć, był to ów straszny, samowolny Henryk VIII, król angielski. Uśmiech chwilowo rozjaśnił twarz jego.

— Cóż to, kochany mój Edwardzie, z ką przyszły ci do głowy takie dziwne figle, zasmucające króla, ojca twego, który cię tak kocha i tak dobrym jest dla ciebie?

Biedny Tomek słuchał tych słów z uwagą, na jaką tylko przestrach jego zdobyć mu się dozwalał, ale usłyszawszy wyrazy: „króla, ojca twego,“ zbladł jak ściana i padł na kolana, jakby piorunem rażony:

— Król! — krzyknął — więc pan jesteś królem!... Zginałem!...

Okrzyk ten wywarł na królu nader przykre wrażenie. Powiódł oczami po wszystkich, poczem wpa-

trzymał się w twarz przerażonego chłopca i po chwili wyrzekł z głęboką boleścią:

— Przebóg! sądziłem, że jest to przesadzona pogłoska, teraz obawiam się, czy nie jest uzasadnioną.

Westchnął głęboko i rzekł łagodniejszym głosem:

— Chodź, moje dziecię, zbliż się do ojca, niezdrowsz jesteś, jak widzę!

Tomek powstał i pokorny, drżący, niespokojny zbliżył się do króla. Henryk z czułością objął rękami jego głowę i długo wpatrywał się w przerażoną twarz chłopca, jak gdyby chcąc dopatrzeć się w niej śladu dawnego rozumu; następnie czule przycisnął go do piersi, pogłaskał po głowie i rzekł dobrotliwie:

— Czy poznajesz mnie, drogie dziecię? Och! oszczędź mi straszego tego ciosu, powiedz kto ja jestem?

— Jesteś pan królem Anglii, moim panem i władcą, przed którym wszyscy kornie schylają głowy.

— Dobrze, doskonale, drogie dziecię!... nie drżysz tak, nie obawiaj się niczego, wszyscy cię tu kochają i nikt nic złego ci nie zrobi... Wszak lepiej ci teraz? Rozbudziłeś się z przykrego snu? Wszak odzyskujesz

przytomność... teraz wiesz już, kto jesteś?... Nie bierzesz się za kogoś innego, jak przed chwilą?

— Błagam cię, królu, chciej mi wierzyć, gdyż mówię szczerą prawdę... Jestem najędźniejszym z twoich poddanych, marnym biedakiem, który znalazł się tylko przypadkiem, ale postąpienie to moje jest naganem. Jestem jeszcze tak młody, iż nie powinienem umierać, a ty, potężny królu, jednym słowem możesz mnie ocalić... O! powiedz to słowo, błagam cię, panie!

I z rozpaczliwym krzykiem padł na kolana.

— Ty miałbyś umierać? Och! nie wymawiaj tego słowa, kochany Edwardzie! Biedne, zaniepokojone serce twoje potrzebuje spokoju, nie trwóż się, żyć będziesz...

— O! niech ci to Bóg wynagrodzi, mój najdroższy królu, niech ci da najdłuższe życie, dla szczęścia twoich poddanych!

Tomek teraz zerwał się jednym skokiem z rozpromienioną twarzą, i zwracając się do towarzyszących mu dygnitarzy, zawołał z radością:

— Wszak słyszeliście panowie, ja nie umrę, król to powiedział!

— Nikt ani palcem nie ruszył; wszyscy skłonili

się poważnie i z uszanowaniem, nie jednak znie odpowiadając.

Tomek zawahał się zmieszany; po chwili spojrział przestraszony na króla, pytając:

— Czy mogę już odejść?

— Odejść? no tak, jeśli chcesz koniecznie, — odpowiedział król; — ale gdzież chcesz pójść, czemu nie miałbyś dłużej zabawić tu u mnie?

Tomek odrzekł pokornie, spuszczać oczy:

— Czyż źle zrozumiałem słowa króla? Sądziłem, że jestem wolny i chciałem wracać do domu, w którym urodziłem się i żyłem dotąd, wprawdzie w okropnej nędzy, ale tam jest matka i siostry moje. Tu przeraża mnie przepych i okazałość, do jakiej nie jestem przyzwyczajony... Ach! panie królu, błagam cię, zaklinam, pozwól mi pójść sobie!...

Król milczał; twarz jego zdradzała niewysłowny niepokój i przerażenie; nareszcie rzekł, a w głosie jego tłała iskierka nadziei:

— Może umysł jego tylko co do niektórych przedmiotów jest zwichnięty, może co do innych pozostał trzeźwym. Daj to, Boże, trzeba spróbować!



I zwracając się do Tomka, zadał mu pytanie w języku łacińskim, na które tenże odpowiedział jak mógł w tymże języku.

Ucieszony król nie ukrywał swej radości, więc doktor i lordowie objawili także swoje zadowolenie.

— Nie odpowiedział zupełnie poprawnie, — rzekł król, — ale zawsze to dowodzi, że umysł jego nie jest zupełnie złąkany, ale tylko częściowo dotknięty. Jakże myślisz, doktorze?

— Podzielim zdanie waszej miłości, — odrzekł z niskim ukłonem, — i jestem przekonany o jego gruntowności.

Król widocznie ucieszył się z tego potwierdzenia człowieka, tak wielką stanowiącego powagę, i rzekł z widoczną pewnością siebie:

— Uważajcie dobrze, przedsięwzię dalsze doświadczenie.

I zadał Tomkowi pytanie w języku francuskim. Wszystkich oczy zwróciły się na niego; biedny, zakłopotany chłopiec milczał chwilę, poczem rzekł:

— Daruje król, ale nie rozumiem tego języka.

Król smutnie zwiesił głowę; doktorzy przybiegli do jego łóża, odsunął ich ręką.

— To nie, bądźcie spokojni, to tylko chwilowe osłabienie, podnieście mi wyżej poduszki! — teraz dobrze! I zwracając się do Tomka, dodał:

— Zbliź się, moje dziecko, połóż na piersiach moich znękaną twoją główkę, uspokój się i nie obawiaj niczego. To tylko chwilowe zakłócenie, które niedługo przeminie.

Poczem zwrócił się do zgromadzonych, twarz jego przebrała ostry, surowy wyraz, oczy ciskały groźne błyskawice.

— Słuchajcie wszyscy! — zawołał rozkazująco, — obecny tu syn mój ma pomieszenie zmysłów, ale jest to tylko obłęd przejściowy, spowodowany przeciążeniem nauką, a może i brakiem niezależności. Odrzucić precz książki i zaprzestać teraz lekcyi, starając się w ich miejsce obmyślać dla niego zabawy, rozrywki i wszelkie możliwe przyjemności, a odzyska niezawodnie zdrowie.

Podniósł dumnie głowę i dodał stanowczo:

— Jest obłąkanym, ale jest moim synem i następcą tronu; tak więc, obłąkany czy nie, zasiądzie na nim!... Słuchajcie uważnie i zawiadomcie wszystkich. Ktokolwiek poważyłby się mówić o tej jego słabości,

stałby się winnym zakłócania spokoju państwa i za karę zginąłby na rusztowaniu...

Dajcie mi pić, pragnienie pali mi język, to zmartwienie odbiera mi siły... Podtrzymajcie mi głowę... a teraz weźcie już tę czarę... A! syn mój zwaryował!... Stało się!... Lecz choćby był jeszcze sto razy większym waryatem, nie przestaje być księciem Wallii, a ja, ojciec jego, jestem królem i dowiodę wam tego!.. Jeszcze dziś rano wprowadzony zostanie w posiadanie księstwa swego i tytułu, według starodawnych naszych przepisów i zwyczajów. Lordzie Hertford, wydaj natychmiast odpowiednie rozkazy!

Jeden z dygnitarzy dworskich ukląkł przy łożu królewskim, mówiąc:

— Wiadomo waszej królewskiej mości, że wielki dziedziczny marszałek królestwa został zamknięty w wieży za zdradę państwa, nie byłoby więc stosownem, aby przestępca uwięziony za zbrodnię przeciw majestatowi królewskiemu...

— Ani słowa! samo wymienienie jego nazwiska byłoby dla nas zniewagą. Czyż człowiek ten wiecznie żyć będzie? Kto ośmiela się krzyżować moje zamiary i moją wolę? Czyż trzeba odłożyć uroczystość inaugu-

racyjną? Czyż w całym królestwie niema ani jednego marszałka, który nie byłby zdrajcą, a zatem mógł zainstalować księcia w jego prawach i godnościach? Idźcie oznajmić memu parlamentowi, iż chcę, aby zanim słońce zajdzie, wydanym był na Norfolka wyrok śmierci, inaczej wszystkich jego członków pociągnę do odpowiedzialności.

Lord Hertford skłonił się nisko, mówiąc:

— Stanie się według woli waszej królewskiej mości, i wstając, wrócił na swoje miejsce.

Chmura gniewnego uniesienia, zasępiająca twarz króla, rozeszła się powoli.

— Uściskaj mnie, kochany księżę,—rzekł do Tomka;—dlaczego obawiasz się mnie? jestem przecież twoim najukochańszem ojcem...

— Król jest dla mnie bardzo dobrym i nie jestem godzien tej wielkiej jego łaskowości, lecz... lecz dręczy mnie sama myśl, że ktoś ma stracić życie...

— A! poznaję twoje tak dobre zawsze serce, choć umysł twój dotknięty, ono pozostało litościwem i szlachetnem. Ale księżę Norfolk staje między mną a tobą, wyznaczę więc innego wielkiego marszałka, który nie zdradzi wielkich obowiązków przywiązanych

do jego stanowiska. Uspokój się więc, kochany książę, i nie męcz tem biednej twojej głowy!

— Ale, najjaśniejszy panie, przecież nie zginie on z mojej przyczyny, ja owszem pragnę, aby mu nie odbierano życia.

— Nie myśl o nim, kochany książę, jest to niegodziwy człowiek. Pójdź, uściskaj mnie i idź się bawić; ja jestem chory i muszę odpocząć. Wuj twój, Hartford, cię odprowadzi; przyjdiesz znów do mnie, kiedy będę zdrowszy.

Tomek odszedł ze ściśniętem sercem; ostatnie słowa króla stawały się dla niego okrutnym wyrokiem, odejmując nadzieję odzyskania wolności. I znowu usłyszał głuchy szmer, który powstał, gdy się ukazał w sali:

— Książę!... książę idzie!...

Gdy przechodził przez długi szereg świetnych dworzan, kornie schylających przed nim głowy, smutne myśli snuły się w jego umyśle. Nie ulega wątpliwości, że został uwięzionym w złotej klatce; wprawdzie jest księciem, ale cóż, kiedy pozbawionym przyjaciół i towarzyszy, i jeśli Bóg nie ulituje się nad nim i nie wróci mu wolności, pomimo całego przepychu, smutna czeka go dola. A nadto gdziekolwiek zwrócił oczy,

zdawało mu się, że widzi spadającą z rusztowania głowę księcia Norfolk, patrzącego na niego straszniemi oczami.

Jakaż to wielka zachodziła różnica między szczęśliwemi dawniejszemi snami i rojeniami, a smutną i budzącą trwogę obecną rzeczywistością!

Gdy dwaj główni lordowie pozostali sami, patrzyli na siebie, kręcąc głowami, nareszcie lord Saint-John zapytał:

— Cóż milord myśli o tem wszystkim?

— Hum! hum! król niedługo pociągnie, a siostrzeniec mój ma pomieszenie, wstąpi obłąkany na tron i obłąkanym zostanie. Niech Bóg ma w opiece naszą Anglię, bo ciężkie może ją czekać przejście.

— Czy milord uważa, że król... jest rzeczywiście...

Lord Saint-John zawahał się, nie dokończył, uznając, że lepiej nie poruszać tak drażliwej kwestyi. Lord Hertford zbliżył się i patrząc mu bystro w oczy, rzekł krótko:

— Mów milord śmiało, nikt nas nie usłyszy; więc sądzisz, że się mylę co do...

— Z największą tylko odrazą zdołam wypowiedzieć słowa, cisnące się mi na usta, i to jeszcze wobec

milorda, będącego tak blizkim krewnym księcia. Przebaczyć więc mej śmiałości i słów moich nie uważaj za obrazę. Czy nie zdaje się to milordowi dziwnem, aby tak niedawne cierpienie księcia mogło tak zupełnie zmienić ruchy jego i obejście, któreśmy wszyscy tak podziwiali? Czyż nie jest to rzecz szczególniejsza, aby obłąd zatarł w pamięci jego nawet twarz ojca, którego nie poznał, dozwolił zapomnieć o obowiązkach i hołdach, jakie winni mu otaczający, i pozostawiając znajomość języka łacińskiego, zatarł najłżejsze nawet pojęcie o francuskim i greckim?... Straszna jest taka niepewność... ale cóż milord myślisz o tem?... Tyle razy powtarza, iż nie jest księciem, może...

— Ostrożnie, lordzie Saint-John, dopuszczasz się zbrodni obrazy majestatu; zapominasz o rozkazie króla, a zniewalając mnie do słuchania słów tak zuchwałych, czynisz współwinowajcą.

Lord Saint-John pobladł z przestrawu.

— O! prawda,—zawołał,—ciężko zawiniłem; przebaczyć mi, milordzie, a przysięgam, że nigdy już mówić ani nawet myśleć o tem się nie odważę. Życie moje jest w ręku waszem, możesz mnie zgubić jednym słowem.

— Bądź spokojny, milordzie, tak szczerzy żal czy-  
ni cię godnym przebaczenia; jeżeli więc tu, czy gdzie-  
kolwiek nie dopuścisz się znowu tak strasznej zbrodni,  
zapomnę coś mówić. Ale oddał tak zbrodnicze przy-  
puszczenia; książę jest naprawdę synem mojej siostry,  
znam go przecie od chwili urodzenia. Wydaje ci się  
niepodobnem, aby obłąd mógł wywołać podobne na-  
stępstwa, a czyż nie pamiętasz starego barona Marley,  
który dostawszy pomieszania po szczęśdziesiątym roku  
życia zapomniał swej osobistości, uważając się za syna  
cesarza chińskiego?.. Zdawało mu się, że ma szklaną  
głowę i obawiał się ciągle, aby nie stłukł mu jej jaki  
niezgrabiasz. Odegnaj więc tak występne myśli, mi-  
lordzie, i strzeż się, aby nie stały się przyczyną twojej  
zguby. Ten, który opuścił nas przed chwilą, jest  
prawdziwym księciem i niedługo panować nam będzie.

Gdy lord Saint-John odszedł, wuj księcia zamy-  
ślił się głęboko.

— Saint-John oszalał!—mówił sobie.—Czy podobna,  
aby w jednym mieście znalazło się dwóch chłopców  
tak ładząco podobnych do siebie? A przypuszczając  
to nawet, jakimże cudem inny mógłby zająć miejsce  
księcia tu, w pałacu, w jasny dzień, wobec nas wszyst-



kich? Gdyby nawet przypuścić, że mamy do czynienia z oszustem, który podstawił się za księcia, boć bywały tego przykłady, to możnaż myśleć, iż uznany za księcia przez króla i dwór cały, zdradzał sam siebie powtarzając, że nie jest nim i unikał należnych mu holdów. Nie, to niepodobna! jest księciem i zasiądzie na tronie Anglii, ale niestety! ma pomieszenie zmysłów!...

---

## ROZDZIAŁ IV.

---

Wybiła godzina pierwsza; ksiązę winien przebrać się do obiadu. Zdjęto więc niestawiającemu oporu Tomkowi wszystko co miał na sobie, i przyodziano w szaty równie bogate, ale zupełnie odmienne. Następnie poprowadzono go z wielkim ceremoniałem do wspaniałej sali, w której stał stół nakryty na jedną osobę.

Półmiski, talerze i cała zastawa była szczero-złota, ozdobiona rzeźbą dłuta Benwenuta; służba księcia zapelniała całą prawie jadalnię.

Kapelan dworu odmówił *Benedicite*.

Tomek o mało nie zemdlął, zobaczywszy najrozmaitsze przysmaki i łakocie, których tak pożądał niegdyś, błakając się po ulicach. Chciał co prędzej zabrać się do jednego półmiska, gdy wtem powstrzymał go hrabia Berkeley, obwiązując go serwetą. Przywilej ten przysługiwał rodzinie Berkeley od lat dawnych, na mocy królewskiego postanowienia.

Tuż za hrabią Berkeley stał pierwszy podczaszy dworu, aby na najłżejsze skinienie napelnić czarę księcia. Oprócz powyższych był jeszcze szambelan *od kosztowania* w razie, gdyby potrawa wydawała się podejrzaną, bez względu że mógł się otruć. Ale już wtedy była to godność czysto honorowa, a piastujący ją dygnitarz nader rzadko wykonywał swój przywilej. W dawniejszych czasach, dostojęństwo to, bynajmniej nie do pozazdroszczenia, niejednokrotnie narażało na niebezpieczeństwo. Zdawałoby się, że właściwiej byłoby pozostawić to zadanie psu lub jakiemuś przestępcy skazanemu na śmierć, ale widocznie królowie i książęta miewają całkiem różne od ogółu pojęcia i przekonania.

Znajdowało się jeszcze w sali mnóstwo różnych dostojników, ponieważ dwór Tomka składał się ze stu

ośmdziesięciu dworzan, nie wszyscy jednak byli obecni, gdyż nie zmieściliby się w sali. Tomek w żaden sposób nie mógł pojąć, co za potrzeba trzymać tak liczną służbę, aby jeść, pić, spać, poruszać się, siadać lub wstawać.

Wszyscy byli zawiadomieni o chwilowej słabości księcia, i mieli rozkaz, aby nie okazali śladu zadziwienia, choćby największych dopuszczał się dziwactw. Niedługo czekali na nie; milczeli, nikt nie myślał śmiać się, i tylko spoglądali ze współczuciem na księcia tak strasznie dotkniętego, do którego rzeczywiście byli przywiązani.

Biedny Tomek w najlepsze zajadał palcami i zaczął bardzo uważnie przyglądać się prześlicznej serwetce, na nim zawieszanej.

— Proszę zdjąć mi ją, jeśli łaska,—rzekł do lorda Berkeley—bo mógłbym powalać.

Pierwszy dziedziczny dostojnik od serwety skłonił się kornie i milcząco, spełnił rozkaz.

Tomek zaczął teraz przyglądać się podługowatej rzepie i salacie, i zapytał czy służą do jedzenia; obie świeżo dopiero sprowadzono z Holandyi i zaczęto upra-

wiać w Anglii. Odpowiedziano mu potwierdzająco, żadnego nie okazując zadziwienia.

Przy wetach napchał sobie kieszenie orzechami, a choć zdawało mu się, że nikt nie zwraca na to uwagi, zmiarkował sam po chwili, że nie zgadza się to z dostojnością księżęcą, i wyjąwszy połowę schowanych łakoci, położył je na stole.

Wtem poczuł silne kręcenie w nosie i mocne swędzenie na jego końcu. Z początku znosił to mężnie, lecz coraz silniejsze łechtenie wielką sprawiało mu przykrość. Biedny, zaniepokoił się bardzo, nie wiedząc co ma czynić, i zwrócił błagalne spojrzenie na pierwszego szambelana, stojącego po prawej jego stronie, potem na stojącego po lewej, i łzy zakręciły mu się w oczach.

Na ten widok przerażeni szambelani spojrzeli na siebie z niepokojem, i nareszcie jeden poważyl się zapytać o powód strapienia. Tomek odpowiedział szczerze:

— Wybaczcie, milordowie, ale nos strasznie mnie swędzi, a nie wiem co nakazuje w takim razie etykieta dworska. Tylko, jeśli łaska, odpowiadajcie prędko bo dłużej nie wytrzymam.

Nikt się nie roześmiał, wszyscy niewymownie zakłopotani zwrócili na siebie pytające spojrzenia. Nie wiedzieli co czynić, gdyż był to wypadek nieprzewidziany, po raz pierwszy wydarzający się na dworze. Mistrz ceremonii był nieobecnym, nikt zaś inny nie śmiał brać na siebie odpowiedzialności za objawione zdanie w tak drażliwej kwestyi. A tu jak na złość nie było dostojnika dworskiego, posiadającego dziedziczny przywilej podrapania księcia po nosie.

Łzy jak perły spływały po twarzy biednego Tomka; swędzący go ciągle nos gwałtownie domagał się pomocy. Nareszcie natura zniweczyła zapory etykiety; Tomek, przepraszając w duszy za wykroczenie, jakiego się dopuszcza, podniósł nieśmiało ręką ku twarzy, i...

Zgromadzeni odetchnęli, straszny ciężar spadł z ich piersi, książę raczył sam się w nos podrapać.

Po skończonym obiedzie, jeden z dworzan przyniósł piękny złoty puhar, napelniony mocno pachnącą wodą różaną i małą złotą miednicę, i podał księciu dla wypłókania ust i obmycia palców. Pierwszy dziedziczny szambelan od serwety stał obok niego, z przewieszonym na rękę śnieżnej białości ręcznikiem. Tomek zajrzał w puhar, powąchał i po chwili waha-

nia nabrał wody różanej w obie ręce poniósł do ust i połknął; następnie klasnąwszy językiem, zwrócił się do lorda Berkely, mówiąc:

— Wypij to sobie, jeśli chcesz; pachnie to nie-  
źle, ale strasznie mdle!..

Nowy ten wybryk wykazywał jasno smutny stan umysłu księcia, przejmując obecnych głębokiem smutkiem. Tomek zaś, nie troszcząc się, co sobie pomyślał, wstał od stołu, rozkazując, aby go odprowadzono do jego pokoju i pozostawiono samym. Tam chwilę siedział zamyślony, aż nagle przypominając sobie, że ma orzechy w kieszeni, zaczął je gryźć i zajadać.

Była to pierwsza chwila szczęścia, jakiego zakosztował od czasu gdy Bóg, karząc go za popełnione grzechy, zrobił go księciem. Zjadłszy orzechy, zbliżył się do biblioteki i zaczął czytać tytuły książek; niektóre obejmowały przepisy etykiety dworskiej. Ucieszył się z tego bardzo, i wzięwszy jedną z nich, położył się na dywanie z tak pożądaną książką, mającą uzupełnić książkę jego wiedzę.

---

## ROZDZIAŁ V.

---

Okolo piątej godziny król Henryk VIII obudził się, sen jego był bardzo niespokojny.

— Te okropne sny nie zapowiadają nic dobrego,—mówił do siebie; — zwiastują blizki mój koniec i potwierdzają moje przecucia... A nadto i puls tak się obniża. — W tem oczy jego zaiskrzyły się i zawołał:

— Nie!... nie chcę umierać, dopóki nie uwolnię się od niego!

Jeden z oficerów służbowych, zobaczywszy, że król się obudził, zapytał, co rozkazuje odpowiedzieć lordowi kanclerzowi, oczekującemu w przedpokoju.



— Niech przyjdzie! niech przyjdzie natychmiast!—  
zawołał żywo.

Lord kanclerz wszedł i przyklękawszy, mówił:

— Wydałem rozkaz objawiony mi przez waszą królewską mość, i zgodnie z wolą jego, parowie królestwa, przyodziani w uroczyste szaty, zatwierdzili w parlamencie wyrok wydany na księcia Norfolk. Obecnie oczekują z pokorą dalszych rozkazów.

Odblask radości rozpromienił twarz Henryka VIII-go.

— Podnieście mnie,—zawołał, — chcę osobiście udać się do parlamentu, i własną ręką przyłożyć pieczęć na wyroku śmierci, mającym oswobodzić mnie od.....

Głos jego zamarł, sina bladeść pokryła twarz; szambelani podtrzymywali go z uszanowaniem i położyli go na łożu. Dla orzeźwienia podano mu wzmacniające krople.

Odzyskawszy przytomność, Henryk VIII-my rzekł z żalem:

— Przebóg! tak niecierpliwie oczekiwałem tej błogosławionej chwili, a gdy nadeszła nareszcie, zawodzi mnie najdroższa moja nadzieja! Ale śpieszcie się

spełnić, czego mnie dokonać nie dano. Zwołać komisją wielkiej pieczęci i wyznaczyć lordów mających ją składać. Ale śpiesz się, milordzie, chcę, aby jeszcze dzisiaj przyniesiono mi jego głowę.

— Rozkazy waszej królewskiej mości zostaną wykonane; czy raczy wasza miłość rozkazać, aby mi w tym celu wydano wielką pieczęć?

— Wielką pieczęć? przecież masz ją w posiadaniu?

— Najmiłościwszy pan zapomina, iż kazał mi zwrócić ją dwa dni temu, mówiąc, że nie będzie służyć do niczego, dopóki królewską swoją ręką nie wycisnie jej na wyroku śmierci wydanym na księcia Norfolk,

— Prawda...! przypominam sobie... ale dziwna rzecz! nie pamiętam, com z nią zrobił...

Wtedy, ukląkłszy przy łożu, lord Hetford rzekł drżącym głosem:

— Niech wasza królewska mość raczy przypomnieć sobie, iż oddałeś wielką pieczęć księciu Walii, zalecając, aby ją schował i zatrzymał, aż do chwili...

— Prawda!—przerwał król,—idźcież po nią czempredzej, czas nagli!

Lord Herford pobiegł do apartamentu księcia, rozczytującego się w ceremoniale dworskim, ale niedługo powrócił znekany, z próżnemi rękami.

— Z niewysłowionym bólem serca przynoszę nader smutną wiadomość, książę nie odzyskuje pamięci i nie pamięta nic a nic, co się stało z wielką pieczęcią.

Wyraz twarzy króla zdradzał wielkie niezadowolenie. Nastąpiła chwila milczenia; król zamknął oczy w smutnych zatopiony myślach. Gdy otworzywszy je, ujrzał klęczącego ciągle kanclerza, zawołał z gniewem:

— Jeszcze tu jesteś?.. spiesz raz już skończyć z tym zdrajcą, inaczej hrabiowskiej koronie niebawem zabraknie twojej głowy!..

— Litości, najjaśniejszy panie, czekam na pieczęć!

— A! Herford, czyś i ty zwaryował? — krzyknął król. — Czy w braku wielkiej nie możesz użyć mniejszej pieczęci znajdującej się w moim skarbcu? Zabierz ją i nie waz mi się pokazać, jak tylko przynosząc głowę Norfolkka.

Biedny kanclerz zadrzał od stóp do głowy i wy-

szedł co prędzej zanieść polecenie królewskie parlamentowi, który za okrutnego tego monarchy, składał się z samych nikczemników i służalców, i wyznaczył nazajutrz rano wykonanie wyroku śmierci, wydanego na nieszczęśliwego księcia Norfolk, pierwszego para Anglii.

## ROZDZIAŁ VI.

---

Czytelnicy pamiętają zapewne, że John Canty porwał i poniósł prawdziwego księcia przez ciemny zaułek Offal Court, a za nim biegła chmara obdartusów i włóczęgów, wrzeszczących i klaskających w dłonie. Z całego tego wstrętnego tłumu jeden głos tylko odezwał się w obronie biednego chłopca, ale wrzaskliwy tłum go zagłuszył.

Księżę szarpał się i gniewał, oburzony do najwyższego stopnia tak straszną zniewagą.

Jak wiadomo, John Canty nigdy nie odznaczał się zbyt wielką cierpliwością; to też rozgniewany podniósł na księcia swój kij dębowy. Wtedy człowiek, który

raz już wystąpił w obronie biednej ofiary, pochwycił rękę kata, i cios przeznaczony dla księcia, ugodził w jego głowę.

— Aha! zachciało ci się mieszać w moje sprawy, otóż masz nagrodę!

Rozległ się krzyk przerażenia; uderzony padł na ziemię, krzykliwa zgraja rozbiegła się, pozostawiając rannego bez ratunku.

Za chwilę księżę znajdował się w izbie Johna Canty, który biegnącym za nim ciekawym zamknął drzwi przed nosem; lojowa świeczka wsadzona w butelkę zaledwie oświetlała nędzną izbę i nędzniejszych jeszcze mieszkańców. Dwie młode, brudne, nieuczesane dziewczyny siedziały na ziemi w kącie przy dość młodej jeszcze kobiecie. Miały one przerażone miny istot zawsze bitych, i zdawało się, iż są pewne, że to ich i teraz nie minie. W drugim kącie siedziała odrażająca stara kobieta; kosmyki siwych włosów bezładnie spadały jej na twarz, napiętnowaną złością i nałogiem pijaństwa; ktoby wierzył w czarownice, musiałby ją wziąć za jedną z najgorszych. Do niej właśnie zwrócił się John Canty.

— Czekaj stara, wyprawię ci pocieszny maska-

radę. Naśmiej się wpierv do woli, potem będziesz mogła bić, kogo zechcesz. No! chodź tu, hultaju, i jeśli pamiętasz jeszcze, powtórz, coś mi mówił przed chwilą. Dalej! wygadaj twoje nazwisko!

Księżciu krew uderzyła do głowy, spojrział na zuchwałego niegodziwca wzrokiem oburzenia i pogardy.

— Widać jesteś bezczelny i źle wychowany, skoro poważasz się dawać mi rozkazy. Powtarzam ci jeszcze, że jestem Edward Tudor, księżę Wallii; czy mam także powtórzyć ci rozkaz, abyś mnie odprowadził do pałacu królewskiego?..

Ta zimna i wyniosła odpowiedź wprawiała starą w osłupienie; utkwiała w księcia wytrzeszczone oczy; Cauty przeciwnie, zanosił się od śmiechu. Matka i siostry Tomka całkiem innego doznały wrażenia; smutek i przeżalenie odbiły się na ich twarzach. Podbiegły prędko do nieszczęsnego chłopca, gdyż z groźnych spojrzeń Johna i starej wyczytały, co go czeka.

— Oh! Tomku! biedny Tomku!—wołały.

Matka Tomka położyła ręce swoje na ramionach księcia, mówiąc ze łzami w oczach:

O, biedne, biedne moje dziecko! to ciągle czyta-

nie pozbawiło cię resztki słabego twego rozumu! przestzegalam cię, ale nie chciałeś słuchać... i tak zakrwawiłeś serce twojej nieszczęśliwej matki!...

Księżę spojrział na nią z litością, i odrzekł ze współczuciem:

— Syn twój, dobra kobieto, nie jest ani waryatem, ani chorym; uspokój się więc... Tomek jest w palacu, niech mnie tam odprowadzą zaraz, a król, ojciec mój, każe wam go wydać.

— Król, ojciec twój?... o! nie mów tego, moje dziecko! ty nie masz pojęcia, jakie nieszczęścia słowa te mogłyby ściągnąć na nas i na ciebie. Odegnaj te okropne przywidzenia, zbierz rozproszone wspomnienia i myśli... Przypatrz mi się: wszak jestem twoją matką?

— Bóg świadkiem—rzekł księżę—jak mi to przykro, iż sprawiam ci takie zmartwienie... ale wierzaj mi, że nie znam cię zupełnie i widzę pierwszy raz w życiu.

Kobieta zasłoniła twarz rękami, i głośnym zaniosła się płaczem.

— A co, stara?—szydził John Canty—czyż to nie wyborna komedia! Nużę Nan, Bett, cóż tak stoicie przed księciem jak drągi! Na kolana i czołem przed nim!



— Daj mu pokój, ojczel!—prosiła Nana—jest okropnie zmęczony, jak odpocznie, odzyska rozum.

— O, tak!—dodała Bety — widocznie jest bardzo osłabiony! do jutra odpocznie: chętnie pójdzie żebrac i nie wróci z próżnemi rękami...

Słowa te przypomniały Johnowi Cauty dręczącą nędzę; zwrócił się z gniewem do księcia, mówiąc groźnie:

— Jutro wynajmujący nam tę obrzydłą dziurę przyjdzie domagać się dwóch pensów za półroczne komorne: jeśli nie zapłacimy, wyrzuci nas za bruk, a to z twojej winy, niegodziwy próżniaku, gdyż nie żebrzesz starannie!

I pogroził chłopcu pięścią.

— Słowa i całe postępowanie twoje budzą we mnie największą odrazę, raz jeszcze powtarzam ci, że jestem synem króla, księciem Walii.

Ogromna ręka Johna opadła na ramię księcia, stara przyskoczyła także i oboje bić go zaczęli. Matka Tomka porwała chłopca, ukrywając go w objęciach. John uderzył jeszcze żonę i córki za okazane chłopcu współczucie, potem krzyknął:

— A teraz spać wszyscy, przedstawienie skończone!...

Zadmuchnął świecę, zapanowała cisza. John i stara chrapali niebawem.

Dziewczyny przysunęły się do księcia, okrywając go, czem mogły; matka Tomka przyczołgała się pocichu, lekko odsunęła włosy spadające mu na twarz i ucałowała go, szepcząc słowa współczucia. Podsunęła mu ukrywaną w rękę skórkę chleba, ale obity i zmęczony syn Henryka VIII, nie czuł głodu, a potem nie nęcił go chleb czarny, stary i nie zalecający się czystością.

Wzruszyło go jednak okazywane mu współczucie, podziękował za nie szlachetnymi słowami, pozwolił odejść, zalecając, aby były spokojne i zapewniając zarazem, że król, ojciec jego, nie omieszka ich wynagrodzić.

Ten jasny dowód powracającego oblędu dotknął boleśnie nieszczęśliwą matkę; jednak gdy zaczęła rozmyślać i zastanawiać się nad tem, powoli, nieznacznie, wątpliwość jakaś zbudziła się w jej umyśle. Mówiła sobie, że jest jednak w tym chłopcu coś, czego określić sobie nie umie, a czego nigdy dotąd nie widziała w Tomku.

Nie umiała zdać sobie sprawy co za zmianę odczuwa w synu, ale instynkt macierzyński mówił jej, że się nie myli. A jeżeli rzeczywiście chłopiec ten nie jest jej synem?

Co za niedorzeczne przypuszczenie! I chciała koniecznie odpędzić tę myśl szaloną, ale powracała uparcie. Czuli, że się nie uspokoi, dopóki nie wynajdzie niezawodnego dowodu: czy chłopiec ten jest lub nie jest jej synem. Chcąc koniecznie wyjść z tak dręczącej niepewności, łamała sobie głowę nad obmyśleniem sposobu, ale łatwiej było postawić sobie to zadanie, niż je rozwiązać. Po długich namysłach, gdy nie nastreczył jej się żaden nieomylny sposób, postanowiła przestać zajmować się tak niedorzecznem przypuszczeniem.

Wtem nagle zerwała się z łóżka, zaczęła zbliżać się cichaczem do stołu, na którym stała zagaszona świeca, mówiąc sobie:

— Że mi też odrazu na myśl nie przyszło!.. Pamiętam dobrze, iż gdy Tomek był jeszcze dzieckiem, trochę zapalonego prochu buchnęło mu do twarzy, i o mało nie oślepiło, i odtąd zawsze już jak tylko zbudzono go nagle ze snu, czy z zamyslenia, zaraz

wierzchem dłoni zasłaniał sobie oczy. Otóż teraz mam sposób przekonania się!

Zapaliła świecę, zbliżyła się do śpiącego i zatrzymując oddech, ostrożnie nachyliła się nad nim, potem nagle przysunęła mu płomień blisko oczu. Otworzył powieki, spojrzął bezwiednie dokoła i zasnął znowu, ale ręką ani poruszył.

Biedna kobieta osłupiała, krew lodem ścięła jej się w żyłach. Doświadczenie się nie powiodło.

— Czyżby pomieszanie zmysłów odjęło mu wszelkie przyzwyczajenia i odruchy?—pytała się w duchu.— Ale to niepodobna! przecież nie ręce, ale głowa jego dotknięta jest obłędem! I chcąc się upewnić, dwukrotnie powtórzyła jeszcze próbę, z jednym zawsze skutkiem, podnosił powieki, poruszał oczami i głową, ale ręce leżały spokojnie.

Zrozpaczona rzuciła się na łóżko, mówiąc sobie:

— A to okropne! nie mogę przecież zaprzeć się mego syna! to niepodobna, to on, to musi być on!

## ROZDZIAŁ VII.

Łódź królewska, eskortowana przez świetną flotyllę, posuwała się majestatycznie po falach Tamizy, wśród lasu illuminowanych statków. Harmonijne dźwięki rozchodziły się w powietrzu; ognie płonące na wybrzeżu, rzucały na powierzchnię wód różnobarwne odbłyśki. Z oddali miasto wydało się, jakby otoczone aureolą. Po nad jego domami i gmachami, dym tworzył jakby białe pióropusze, znikające co chwila. W miarę zbliżania się łodzi, tłumy witały jej ukazanie się szalonymi wiwatami; sztuczne ognie podnosiły się ku obłokom, wystrzały z dział rozlegały się co chwila.

Dla Tomka rozpartego na jedwabnych podusz-

kach, te ognie, muzyka i radosne okrzyki, stanowiły całość nadzwyczajną, cudowną, na zawsze zapisującą się w pamięci. Co zaś do towarzyszek jego, księżniczki Elżbiety i lady Grey, patrzyły obojętnie, był to dla nich widok spowszedniały.

Dopłynąwszy do miasta, Tomek wysiadł na ląd i otoczony świetnym orszakiem, podeszedł uroczystym pochodem przez Old, Jerry i Basinghall, i zatrzymał się przed Guidhall.

Tu Tomek i młode księżniczki zostali przyjęci ze zwykłym ceremoniałem przez lorda majora i starszyznę miasta, przybranych w szkarłatne szaty, w złotych łańcuchach na szyi. Wprowadzono ich pod wspinały baldachim wznoszący się nad tronem, urządzone na wywyższeniu, w końcu ogromnej sali. Przed nimi postępowali heroldowie, delegat niosący maczugę i inny niosący miecz sprawiedliwości. Po za tronem zajęły miejsca damy i lordowie, należący do dworu Tomka i księżniczek.

Po za stołem honorowym stał inny, niższy, przy którym zasiedli wielcy dygnitarze dworu, biesiadnicy znakomitego rodu, oraz starszyzna. Członkowie Izby gmin zajęli miejsca przy niezliczonej liczbie małych

stolików, rozstawionych w niższej części sali. Dwaj olbrzymi, Gog i Magog, starożytni stróże i opiekunowie miasta, spoglądali dobrotliwie z wysokości swych niezmiernych piedestałów, na ten świetny tłum uwi-  
jający się przy ich stopach, i zdawało się, że ten widok powtarzany dla nich tylokrotnie od najdawniej-  
szych czasów, wywoływał uśmiech na ich usta. Wtem odezwały się rogi i okazały szafarz ukazał się na wznie-  
sieniu, zapowiadając obiad.

Gdy już kapelan odmówił błogosławieństwo, uwiadomiony przez lorda Hertford, Tomek wstał i wszyscy poszli za jego przykładem. Wziął ze stołu wielką złotą czarę z dwoma uszami, noszącą od najdawniejszych czasów nazwę „czary miłości;“ i gdy trzymał ją za jedno ucho, księżniczka Elżbieta lekko oparła palce na drugim, a drugą ręką zdjęła przykrycie, poczem Tomek, napiwszy się trochę, oddał czarę lady Joannie; i tak z kolei przechodziła z rąk do rąk. Miało to przedstawiać symbol szczerego braterstwa. Gdy już czara obeszła całe zgromadzenie, rozpoczął się bankiet.

Okolo północy całe towarzystwo było bardzo oży-

wione i wesole; wtedy nastąpiło nader malownicze widowisko, w owej epoce bardzo wysoko cenione.

Zebrani rozstąpili się, pozostawiając w środku sali pustą przestrzeń, i zaraz wprowadzono ceremonialnie barona i hrabiego w tureckich strojach; długie ich, wschodnie, jedwabne szaty były przetykane złotem, na głowach mieli aksamitne karmazynowe kapelusze, ze złotymi galonami. Od pasa spadały im zakrzywione szpady, zawieszane na złotych pendentach. Za nimi postępował inny hrabia i inny baron, w długich, żółtych jedwabnych szatach, z szerokim na środku pasem z białego atlasu; strój ten uzupełniały szare kastorowe kapelusze i trzewiki z długimi bardzo śpiczastymi nosami. W rękę trzymali topory. Za nimi szedł rycerz w zbroi, następnie lord wielki admirał, w towarzystwie pięciu panów w karmazynowych aksamitnych kaftanach, mocno otwartych z przodu i zasnurowanych srebrnymi łańcuszkami. Na ramionach mieli zarzucone atlasowe karmazynowe płaszcze. Po bokach stały dwa szeregi ludzi z pochodniami, w atlasowych szatach zielonych i karmazynowych; poprzedzali oni tak zwaną „Mommarje“, czyli maskaradę, ze śpiewem wpadającą do sali pod przewodnictwem przebranych muzykantów.



Wtedy nastął ożywiony ruch w całym zgromadzeniu, zachowywana dotąd powaga zamieniła się w wesołe płąsy, damy i panowie tańczyli wesoło.

Tomek, siedzący na wzniesieniu, z niewypowiedzianem zadziwieniem przyglądał się ożywionej zabawie, wszystko bawiło go nadzwyczajnie. A w tymże czasie rzeczywisty książę Wallii, odziany w łachmany, przepychał się przez tłumy, chcąc dostać się do bram Guildhallu. Wypowiadał głośno prawa swoje i skargi na oszusta, grożąc śmiercią stawiającym mu opór.

Rozbawiony motłoch zanosił się od śmiechu: było to coś niesłyszanego dotąd. Wspinali się na palce, wyciągali szyje, dla przypatrzenia się zuchwałemu buntownikowi, szydzono z księcia i znieważano, co potęgowało jeszcze gniew jego i oburzenie. Łzy stawały mu w oczach, nie uląkł się jednak dzikiego tłumu i śmiało stawiał mu czoło.

— Mówię wam, nędznicy! — wołał, — iż jestem księciem Wallii, a jakkolwiek jestem teraz opuszczony i nie mam nikogo, ktoby przyszedł mi z pomocą, czy to czynem czy słowem, mimo tego sam utrzymam moje prawa i nie ustąpię przed wami!

— Wszystko mi jedno, czy jesteś księciem, czy nie, ale dzielny z ciebie chłopak, tylko mijasz się z prawdą, mówiąc, że nie masz przyjaciela. Ja nim jestem i dowiodę tego i tobie i innym. A doprawdy mógłbyś trafić na mniej pewnego przyjaciela, niż Miles Hendon. Nie męcz więc daremnie nóg i daj wypocząć językowi, a ja za to przemówię do tej zgrai zrozumiałym dla niej językiem.

Mówiący te słowa miał minę dość imponującą, był bardzo wysokiego wzrostu i silnie zbudowany. Ubiór, niegdyś świetny, był wytarty i zniszczony; od pasa spuszczała się długa szpada, w żelaznej, zardzewiałej pochwie. Mina i powierzchowność jego zdradzały śmiałość, zawsze gotowego do bitwy.

Odezwanie się jego tłum powitał krzykiem i urąganiem.

— O! ten przynajmniej podobny do księcia, — krzyczeli jedni.

— Ostrożnie, bo połknie albo ugryzie! — wołali inni.

— Ten, bo nie żartuje, spójrzcie mu tylko w oczy!

— Porwać go i rzucić do rzeki!

I ręka jakaś pochwyliła księcia. W tejże chwili Miles Hendon wyciągnął z pochwy swoją wielką szpadę i tak silnie płazem uderzył napastnika, iż ten padł na ziemię.

Na ten widok dokoła rozległy się krzyki:

— Śmierć rozbójnikowi! śmierć! śmierć!

I zajadły tłum coraz ciaśniejsem otaczał go kółem. Nieustraszony Hendon oparł się o ścianę młynkując szpadą, i ktokolwiek zanadto się zbliżył, odbierał cios zupełnie go obezwładniający. Mimo to zacięty motłoch coraz zawzięciej rzucał się na obrońcę księcia, i nieznamy musiałby w końcu uleść przemagającej sile, gdy wtem nagle rozlegający się odgłos trąbki pomieszał szyki napastnikom. Głos rozkazujący zawołał:

— Rozstąpić się przed posłannikiem króla!

Hufiec konnicy uderzył na tłum i rozpedził go w jednej chwili, z czego korzystając, Miles Hendon porwał księcia za rękę i wraz z nim pobiegł za tłumem uciekającym.

W tejże prawie chwili w pałacu królewskim tanecznice i tanecznicy w martwe zamienili się posągi. Gdy posłyszano odgłos rogu, rozległ się szmer zadziwienia,

poczem głuche nastalo milczenie. Cale zgromadzenie stanęło, oczekując niespokojnie; wtedy odezwał się głos powolny, uroczysty, poważny:

— Król umarł!

Wszyscy kornie schylili głowy i przez mgnienie oka stali nieruchomi. Niezwłocznie padli na kolana i wyciągnęli ręce ku Tomkowi; jeden okrzyk wyrwał się z piersi całego zgromadzenia, wstrząsając murami sali:

— Niech żyje król!

Biedny, osłupiały Tomek powiódł bezmyślnym wzrokiem po kornie klęczących przed nim, i niepewny i zamyślony zatrzymał go na księżniczках, a nareszcie na klęczącym przed nim hrabi Hertford. Nagle twarz jego rozpromieniła się, widocznie powziął jakieś postanowienie. Pochylając się ku lordowi, zapytał cicho:

— Hrabio, zaklinam cię na twój honor i sumienie, odpowiedz mi szczerą prawdę. Jeśli wydałbym teraz rozkaz, jaki wydać sam tylko król ma prawo i przywilej, czy rozkaz ten zostałby wykonany, czy nikt tu nie mógłby wystąpić i powiedzieć: nie!?

— Nikt, najjaśniejszy panie, ani tu, ani w całym państwie twojem. W tobie, miłościwy królu, spoczy-

wa teraz majestat i potęga Anglii: jesteś królem, wola twoja jest dla wszystkich prawem.

Tomek wyprostował się i rzekł pewnym i silnym głosem:

— Odtąd i nadal prawem będzie prawo łaski, a nie prawo krwi i miecza. Wstań, milordzie, i idź do Wieży oznajmić wyraźną moją wolę: księżę Norfolk żyć będzie!

Dreszcz przebiegł całe zgromadzenie. Słowa Tomka przechodziły z ust do ust. Lord Hertford zwrócił się ku drzwiom dla spełnienia rozkazu króla.

W całym pałacu rozległ się okrzyk szalonej radości:

— Skończyło się panowanie krwi i okrucieństwa! Niech żyje Edward VI, król Anglii!

Wiadomość o śmierci Henryka VIII-go lotem błyskawicy rozeszła się po mieście; tysięczne usta objawiały ją biednemu prawdziwemu księciu.

Król umarł! Okrzyk ten zagłuszający wszystko krew jego ścinał lodem; zdawało mu się, iż serce mu pęka, że ziemia rozstępuje się pod jego stopami. Mógłże nie czuć boleśnie tak wielkiej straty? Jakkolwiek

zmarły król był okrutnym tyranem, którego obawiał się i nienawdził cały naród, dla niego jednak był tklwym i najpobłażliwszym ojcem. Łzy wzrok mu zasłaniały, nie widział nic przed sobą, przez chwilę mniemał, że jest zgubionym, że Bóg i ludzie go opuścili.

Gdy jednak w pośród otaczającej go nocy rozległ się inny równie głośny, pełen zapалу okrzyk, powtórzony przez stotysięczny tłum: „Niech żyje Edward VI-ty, król Anglii!“ otrząsnął się z odrętwienia, zadrział, oczy jego niezwykle zajaśniały blaskiem, ale nie z boleści lecz z radości i dumy. Podniósł głowę i upojony szczęściem, tak jakby w tej chwili był posiadaczem korony, zawołał:

— Jestem królem!...

Lecz nikt nie zwrócił uwagi na ten okrzyk.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

---

Podczas gdy prawdziwy król błakał się po drogach, biednie odziany, źle żywiony, znieważany i wyszydzany, wydrwiwany przez złoczyńców i włóczęgów, wtrącony do więzienia razem ze zbrodniarzami: uważany za waryata, idyotę, oszusta, — fałszywy król, Tomek Cauty, podobny słońcu krążącemu po niezmiernych przestrzeniach niebieskich, wznosił się stopniowo do szczytu wielkości, i jak pierwszorzędna gwiazda, przyświecał światu.

Tomek pozbył się już obawy, wahania i nieśmiałości; dawna niezręczność i zakłopotanie ustąpiły

miejsca wdzięcznemu obejściu, swobodzie i pewności siebie.

Lubił teraz bardzo, aby go wieczorem z wielką pompą odprowadzano do łóżka i z wielkim ceremoniałem ubierano z rana. Czuł się szczęśliwym i dumnym, udając się uroczystym pochodem do stołu, otoczony najpierwszymi dostojnikami państwa i przyboczną gwardyą, i nawet podwoił jej liczbę z pięćdziesięciu na stu; nie posiadał się z radości, gdy fanfary rozlegały się w korytarzach, a stráže rozstawione w pewnych odległościach, wołały: „Z drogi! król idzie!”

Lubił zasiadać na tronie i przewodniczyć wielkiej radzie. Nie był już prostym tylko manekinem w ręku lorda protektora, którego dziwiło niewymownie, iż nie mówi głośno tego tylko, co on szepcze mu do ucha.

Lubił przyjmować ambasadorów otoczonych świetnym orszakiem; lubił słuchać czytania powinszowań nadsyłanych od najpotężniejszych monarchów, w których mówili mu: mój bracie, jemu—Tomkowi Canty, biedakowi z przedmieść Londynu.

Lubił swoje wspaniałe stroje i nakazywał coraz nowe, lubił służbę dworską złożoną z czterystu szlach-



ty, i znajdował, że nie jest to dostateczna liczba potrzebna dla blasku i powagi tronu, że należałoby powiększyć ją w trójnasób. Pochlebstwa, czolobitność i pokłony dworaków, wydawały mu się, jakby upajającą muzyką, ale to oszołomienie wielkością nie pozbawiło go wrodzonej dobroci. Jak był, tak pozostał niezachwianym obrońcą biednych, słabych i uciemżonych. Wypowiedział bezlitośną wojnę wszelkim nadużyciom i nieprawościom i nie zaprzestawał jej ani na chwilę.

Czy też Tomek Cauty myślał kiedy o biednym prawowitym księciu, który tak łaskawie się z nim obszedł i dał mu dowód niezaprzeczonej szlachetności i dobroci serca, poskramiając zuchwalstwo żołnierza strzegącego bramy pałacowej? Tak, Tomek myślał o księciu, ale co prawda, tylko w pierwszych dniach swego królowania, a właściwiej podczas pierwszych nocy, gdy zostawszy sam, zapytywał siebie: co się też stało z jego dobroczyńcą? Wtedy pragnął szczerze powrotu jego i w owych chwilach zwróciłby mu chętnie zajęte jego stanowisko, przepych i prawa.

Ale w miarę upływania czasu i przedłużającej się nieobecności księcia, w umyśle Tomka coraz głębiej nurtowała myśl, iż może to szczęście jego trwać będzie

do nieskończoności. Nieznacznie postać prawdziwego króla zatarła się w jego myślach, aż nadeszła chwila, iż wydawała mu się tylko straszny jakimś widmem, nakazującym mu rumienić się za swą czelność i wyrządzoną krzywdę.

Powoli, stopniowo takież los spotkał matkę jego i siostry. Z początku cierpiał nad rozłączeniem się z nimi; serce mu się ścisnęło na myśl, jak muszą niepokoić się o niego; pragnął zobaczyć się z nimi jak najprędzej. Nieco później, gdy pomyślał, że przyodziane są w brudne łachmany, że radość ich i uściski zdradziłyby go i strąciły z tego tronu, na którym było mu tak dobrze, pogrążając znów w nędzy, ponieważ i poniżeniu, dreszcz go przechodził. Zresztą uspakajał wyrzuty sumienia tem, że nie wie, gdzie się obracają.

Dnia 19 lutego 1547 r. Tomek Cauty spał spokojnie w swoim łożu królewskim. Gwardya, duszą i ciałem oddana królowi, czuwała nad nim; dworacy i służba zapełniała przedpokoje; dokoła otaczał go przepych i przywileje najwyższej władzy. Tomek czuł się bezgranicznie szczęśliwy; rzeczywistość przewyższała największe jego rojenia; powtarzał sobie, że dzień następny będzie najpiękniejszym w jego życiu,

gdyż w dniu tym zostanie uroczyście koronowany, jako król Anglii.

O tejże godzinie, Edward Tudor, prawdziwy król, umierał prawie z głodu, zimna i znużenia; tłum, popychając go, poszarpał na nim odzienie; okryty potem i kurzem przepychał się wśród natłoku ciekawych tłoczących się przed bramami opactwa Westminster, po którego dziedzińcach uwijały się setki robotników, śpiesznie wykończających przygotowania do uroczystości koronacyjnych.

Pierwszym odgłosem, jaki doszedł do uszu Tomka Cauty po jego przebudzeniu się, były nieustające salwy armatnie, sprawiające wrażenie gwałtownych grzmotów. Huk ten nie przestraszał go jednak, przeciwnie, niewysłowioną sprawiał mu przyjemność, gdyż salwy te zwiastowały mu, że cała Anglia gotuje się do uczczenia tego wielkiego dnia.

W kilka godzin później, Tomek miał już po raz drugi zostać bohaterem wspañialej uroczystości, mającej się odbyć na wodach Tamizy.

W chwili wyruszenia orszaku królewskiego, zdawało się, że mury starożytnej fortecy rozpadają się na niezliczone części, i przez każdy włóm wybucha

sноп czerwonawych płomieni i kłęby białego dymu. Jednocześnie następował straszny wybuch, skutkiem którego stare mury gmachu drżały w podstawach, a z piersi niezliczonych tłumów, zalegających wszystkie części miasta, wydarły się ogłuszające okrzyki i wiwaty. Wszystko to powtarzało się nieustannie. Na najwyższych szczytach wież Londynu powiewały niezliczone chorągwie.

Tomek Cauty, strojny we wspaniałe szaty i klejnoty, jechał na przepysznym rumaku pokrytym drogocennymi ozdobami, sięgającemi do ziemi. Za nim jechał konno lord protektor, księżę Somerset, a po obu stronach drogi rozstawiona była szeregiem gwardya królewska, w połyskujących na słońcu pancerzach stalowych i takichże hełmach. Za lordem protektorem postępowali zakonnicy, magnaci i dygnitarze państwa, ze swymi, wazalami i służbą; dalej lord major i ciało municypalne, odziani w aksamitne karmazynowe szaty, na których krzyżowały się wielkie złote łańcuchy; następnie urzędnicy i członkowie wszystkich korporacji londyńskich w galowych strojach, poprzedzeni wspaniałemi chorągwiami. Obecna była także starorzutna i sławetnia kompania artylerzystów Starego Miasta, licząca

już wówczas przeszło trzysta lat istnienia. Ze wszystkich wojsk angielskich jedna tylko ta kompania posiadała przywilej (dotąd jej przysługujący), iż jest niezależną od parlamentu.

Był to wspaniały widok, olśniewający przepychem bajecznych bogactw, złota, klejnotów i okazałych strojów. Tłumy upojone zapalem zalegały ulice, i tylko z największą trudnością można było przecisnąć się przez nie.

Gdy król wjechał do Starego Miasta, lud powitał go szalonymi, pełnymi zapachu okrzykami, dowodzącymi szczerego przywiązania do swego monarchy. Do stojących dalej król uśmiechał się przyjaźnie, do bliższych mówił łaskawie, dziękując za serdeczne przyjęcie. Dziękował uprzejmie wszystkim życzącym mu szczęścia i długiego życia; tym zaś, którzy wołali: „Boże, zachowaj nam króla!“ odpowiadał: „Wszystkim wam tego nawzajem!“ A lud nie posiadał się z radości, słysząc te łaskawe słowa, patrząc na szlachetną postawę swego króla.

Tomek Canty wpatrywał się z zajęciem w to morze poruszające się u jego stóp, i serce jego wzdymało

się pycha, i mówił sobie, że nie ma na ziemi szczęścia jak tylko: zostać królem i bożyszczem swego ludu.

Wtem zobaczył w tłumie dwóch dawnych swoich towarzyszy z Offal Court, pomimo tak uroczystego dnia, odzianych w codzienne swoje lachmany. Jeden piastował urojoną godność wielkiego admirała w jego urojonem państwie, drugi był pierwszym urojonym szambelanem jego urojonego dworu. I w sercu jego większa jeszcze zbudziła się pycha, i mówił sobie: „A! żeby mnie też poznali!” Bo cóż to za niezrównana chwała i rozkosz być poznanym i podziwianym przez swych dawnych dostojników, urojonych lordów i panów i przekonać ich dowodnie, że urojony król z nad ścieków kanałowych, został rzeczywistym królem, którego służba składa się z rzeczywistych książąt, baronów i znakomitej szlachty, a cała Anglia kornie do stóp jego się schyla!..

Jednak zastanowiwszy się, zaniechał urzeczywistnienia tego życzenia, gdyż to poznanie przez dawnych towarzyszy, drogo by go kosztować mogło. Odwrócił głowę w inną stronę, nie chcąc patrzeć na nich.

Co chwila rozlegał się okrzyk: Pieniądze! pieniądze! I Tomek pełną garścią rzucał na obie strony

nową monetę, a tłum rozpychał się i schylał na ziemię, aby ją podnosić.

„Przy rogu ulicy Gracechurch, pisze ówczesny kronikarz, mieszkańcy Starego Miasta wzniesli wspinałą bramę tryumfalną, ciągnącą się przez całą szerokość ulicy, w której przedstawieni byli najbliżsi przodkowie króla: Elżbieta York, siedząca w środku ogromnej białej róży, której listki tworzyły jakby uplisoną draperyę, otaczającą ją dokoła. Obok niej, Henryk VII wychodził z róży czerwonej. Królewska ta para trzymała się za ręce, a królowa miała na palcach ogromny pierścień ślubny, widzialny z daleka. Od obu róz podnosiły się gałązki wznoszące się w górę, i tam się łączące; jedną zajmował Henryk VIII, wychodzący z czerwonej i białej róży; a obok niego Joanna Seymour, matka nowego króla. Z białej i czerwonej róży wyrastała gałązka wijąca się i otaczająca Joannę Seymour, i wznosiła się po nad nią i królem do wysokości, na której widniała postać Edwarda VI, siedzącego na tronie i otoczonego królewskim przepychem. Cała brama tryumfalna, pokryta była od dołu do szczytu czerwonymi i białymi różami.“

Tomek przyglądał się zachwycony, nie posiadając

się z radości. Upajały go szalone krzyki ludu, podziwiającego doskonale podobieństwo portretu umieszczonego na bramie tryumfalnej, do młodziutkiego króla; w którąkolwiek stronę odwrócił głowę rozlegał się grzmot oklasków.

Orszak królewski posuwał się zwolna, spotykając bramy tryumfalne po wszystkich ulicach, a w oknach i balkonach domów różne obrazy symboliczne, sławiące zalety i cnoty młodego króla.

— I wszystkie te cuda, wszystkie te piękne rzeczy, na moją cześć są nrządzone!—mówił sobie biedak z przedmieść Londynu.

I zarumieniona twarz jego promieniała szczęściem, oczy pały, w głowie dziwny panował zamęt.

Uradowany, podniósł rękę, aby znów rzucać pieńiądze, i nagle ujrzał twarz bladą, wynędzniałą, osłupioną, której oczy patrzyły w niego jak w tęczę.

Tomek Cauty drgnął: ta kobieta stojąca na przodzie tłumu i zapatrzona w niego, była to jego matka.

Podniósł rękę do czoła i zakrył oczy, jakby lękając się, aby go piorun nie oślepił. Ręka jego odwrócona była „dłonią na zewnątrz.“



Kobieta krzyknęła i roztrącając tamujących jej dostęp, odepchnęła straż, i pochwycawszy za uzdę, zatrzymała rumaka królewskiego, krzycząc:

— O, moje ukochane dziecko!... synu mój jedyny!...

Oficer gwardyi królewskiej odciągnął ją gwałtownie, i rzucając obelgami, silną dłoń rzucił wśród tłumu.

— Kobieto, ja cię nie znam!

Słowa te mimowolnie wysunęły się z ust Tomka Canty. Za ledwie je wymówił uczuł w sercu, jakby ukłucie żądłem żmii, żal, wstyd, że zaparł się matki. Widział ciągle jej zapadłe oczy wpatrzone w niego, widział ją rzuconą w odmet tłumu. A wydawała mu się tak nieszczęśliwą! tak zrozpaczoną!... I wstyd zarumienił mu czoło, uczuł wstręt niewypowiedziany do tej potęgi i królewskości, którą przywłaszczył sobie, do tych wielkości i władzy, dla których zaparł się matki. I zdawało mu się, że drogocenne szaty spadają z niego jedna po drugiej, a w ich miejsce osłaniają go zabrukane lachmany—i gdy się tak widział w swym odzieniu z Offal Court, w którym nie wstydzilby

się rzucić w objęcia matki, odzyskiwał utracony spokój i szczęście.

Pochód ciągnął dalej, i coraz nowe cuda oglądał i co krok burza wiatów pozdrowiała Tomka Cauty.

Ale Tomek nie już nie widział i nie słyszał: wszystko dokoła nie istniało już dla niego. Urok znikł—królewskość już dla niego nie miała powabu. Wszystkie te głosy opiewające jego chwałę, brzmiały mu w uszach, jak straszne wyrzuty sumienia, nurtujące go jakby powolna trucizna. Królewska jego purpura, paliła go, jakby szata z samych płomieni utkana.

— Och!—mówił sobie w duchu— czemuż nie jestem wolnym, czemuż nie mogę wyrwać się z tej niewoli!

I przebiegając myślą przeciąg tych kilku upłynionych tygodni, przypomniał sobie ową chwilę, w której zrozpaczony, że księżę nie wraca, błagał Boga o odzyskanie swoich łańcuchów.

Orszak posuwał się dalej, wijąc się, jakby bezmierny wąż ognisty przez kręte ulice Starego Miasta, przeciskając przez natłok rozszalałych tłumów. Król jechał przodem ze spuszczoną głową, ze wzrokiem

utkwionym w przestrzeń, i nie widział nic przed sobą prócz bladej, przerażonej twarzy matki i zapadłych jej oczu, utkwionych w niego.

Ze wszech stron rozlegały się krzyki: Pieniądzy! pieniądzy!.. Tomek nic nie słyszał.

— Niech żyje Edward VI, król Anglii!

Zdawało się, że od tych okrzyków ziemia drży w swych podstawach: król nic nie słyszał, nic nie odpowiadał, tylko w głębi jego serca nieustannie odzywał się głos:

— Kobieto, ja cię nie znam!

I słowa te miały dźwięki, jakby pogrzebowego dzwonu; jakby rozpaczliwego głosu kogoś straconego w przepaść, którego możnaby uratować prostym podaniem ręki, a jednak nikt tego nie czyni i dozwala mu zginąć.

Przygnębienie i smutek króla zaczęły udzielać się tłumom. Radość pospólstwa zdawała się zmniejszać, jak wichur poskromiony deszczem, twarze sposepniały; dreszcz przebiegł zebrane tłumy, okrzyki i wiwaty przycichały, uroczystość zaczynała tracić swoją cechę.



LONDYN:  
Widok na Tamizę i gmachy parlamentu.

Lord protektor zmarszczył brwi; dostrzegł, że zapal ludu stygnie stopniowo i niebawem poznał co było tego przyczyną.

Podjechał do króla i odkrywszy głowę, pochylił się ku niemu w postawie pełnej uszanowania:

— Najjaśniejszy panie — rzekł, nie pora zatapiać się w marzeniach: lud ma zwrócone na ciebie oczy. Widząc, że smutnie spuszczasz głowę, że chmura smutku osiadła na twojem czole, weźmie to za złą wróżbę. Nie zapominaj, najjaśniejszy panie, iż trzeba koniecznie, aby lud widział zawsze majestat królewski jaśniejący jasnym, jakby słonecznym blaskiem. Odegnaj więc smutne myśli, podnieś głowę, królu, i uśmiechaj się do twego ludu.

I to mówiąc, książę zaczął rzucać pieniądze na prawo i na lewo, poczem wrócił na swoje miejsce.

Tomek spełnił machinalnie, co od niego żądano. Uśmiechał się — ale uśmiech ten nie był szczery. Szczęściem mało kto umiał poznać się na tem. Kłaniał się uprzejmie tłumowi, hojnie sypał pieniądze, i lud szalał radością, coraz głośniejsze wydając okrzyki.

Jednak zanim orszak doszedł do oznaczonego

miejsca, księżę znów zniewolony był zbliżyć się do króla i szepnął mu do ucha:

— Choćbym się miał narazić na twój gniew, najjaśniejszy panie, muszę powtórnie błagać, abyś rozpozgodził czoło. Królu, nie zapominaj, że cały świat zwraca na ciebie oczy.

A ciszej jeszcze dodał:

— Niech лихо porwie tę przekłątą zebrazkę, ona to zepsuła humor waszej królewskiej mości!..

Król podniósł powoli na księcia swe piękne oczy, w których lzy zabłysły, i rzekł stłumionym głosem:

— To była moja matka!

— O, nieba! — krzyknął lord protektor, — tłum nie mylił się, widząc w tem złą wróżbę... Król znowu dostał obłędu!..

Tego samego dnia, 20 lutego 1547, miała się odbyć w opactwie Westminsterskiem koronacja króla Anglii Edwarda VI, syna i następcy Henryka VIII.

Od czwartej z rana liczne tłumy zaległy galerye oświetlone pochodniami, a choć było jeszcze ciemno i trzeba było czekać siedm do ośmia godzin do rozpoczęcia ceremonii, setki osób zajęły już miejsca na ławkach dla nich przeznaczonych, z których spodzie-

wały się widzieć, czego zapewne nie zobaczą drugi raz w życiu: koronację króla.

Cały orszak zwracał się ku opactwu Westminster, w około którego gromadzili się tego dnia wszyscy mieszkańcy Londynu, gdyż do wnętrza pewna tylko liczba osób mogła się dostać. Aby dostąpić tego zaszczytu, trzeba posiadać wysoki tytuł, znakomite stanowisko, lub bardzo silną protekcję, a że miejsce było ograniczone, należało przyjść bardzo wcześnie, aby nie zostało zajętem. To też na długo przed przybyciem orszaku wszystkie siedzące miejsca były zajęte.

W pośród zgromadzonych panowało głucho, poważne milczenie. Majestatyczność świętego przybytku, powaga mającej się odbyć uroczystości nastrajały wszystkich do poważnej zadumy.

W owej epoce dobiegało już dziesięć wieków od czasu gdy Robert, król Essexu i Midlessæxu, nawrócony na chrześcijaństwo, roku pańskiego 610 położył kamień węgielny tego gmachu, po dziś dzień otoczonego najgłębszą czią w całej Anglii. W początkach opactwo było tylko skromnym budynkiem, zostającym pod nadzorem kilku Benedyktynów i opata, i wtedy było bardzo ubogiem. Za panowania Edwarda wynawcy,

któremu zamiast zamierzonej pielgrzymki do Rzymu, papież polecił zbudować monaster, poświęcony św. Piotrowi, w roku 1065 rozebrano stary kościół a wzniesiono nowy, daleko rozleglejszy i okazalszy, z którego pozostały niektóre tylko części, a mianowicie niska sklepiona izba. W niej dawniej mieścił się skarb królewski, a obecnie przechowują tu skarb, czyli skrzynkę, w której składane są wzory złotych i srebrnych monet bitych za każdego panowania. Zbieranie ich jest przywilejem korporacyi złotników. W roku 1220 Henryk III znowu przebudował świątynię i dodał kaplicę N. Panny, zastąpioną później (1502) przez kaplicę Henryka VII, poczem zaprowadzono w opactwie różne zmiany.

Z zewnątrz ta pierwsza świątynia w Londynie przedstawia bardzo malowniczy widok. Prześliczne wnętrze jest arcydziełem gotyckiego budownictwa. W tym kościele z najdawniejszych czasów, odbywają się koronacje królów angielskich. Po bokach znajdują się liczne kaplice, jak Edwarda Wyznawcy, Henryka III i Henryka VII, zdobna wspaniałym grobowcem tego króla i jego rodziny. W innych kaplicach znajdują się pomniki królowej Elżbiety, jej poprzedniczki, Maryi Stuart i wielu



znakomitości dziejowych. U stóp ołtarza osadzona jest mozaika darowana opactwu (1268 r.) przez opata Westminsteru, Ryszarda Ware, wykazująca, jak długo według pewnych prorocत्व, świat ma jeszcze istnieć, i zaznaczająca jego trwanie na 19,683 lat. Na jakiej zasadzie opiera się to niepojęte wyliczenie, tego twórca mozaiki nie wykazuje.

W południowem ramieniu krzyża spoczywają sławni uczeni angielscy, od lat przeszło dwustu; w pobliżu ołtarza znajduje się tak zwane (Poeto korner) zacisze poetów, w którym wznoszą się pomniki najznakomitszych poetów angielskich. Zaszczyt spoczywania w opactwie Westminster jest nader rzadko przyznawany i wymaga wielkich zasług.

Wielka galerya północna była jeszcze nie zajęta, a przeznaczona dla najwyższych dostojników koronnych. W głębi kościoła, na wysokiej estradzie, której stopnie pokrywały drogocenne kobierce, wznosił się tron królewski obity złotogłowiem, którego siedzenie stanowił prosty płaski kamień, pokryty poduszką ozdobioną herbami królewskimi. Kamień ten sięga czasów najdawniejszych królów Szkocyi, używany był

zawsze do uroczystości koronacyjnych i uważany za świętość.

Czas upływał; światło pochodni bladło stopniowo, aż nagle brzask dzienny przez szyby wdarł się do kościoła i niepewnym blaskiem oświetlił jego wnętrze.

O godzinie siódmej najpierwsze przybyły małżonki parów. Każdą z nich poprzedził jeden z panów dworskich i uprzejmie wskazywał przeznaczone miejsce, inny, idący za każdą z pań, niósł jej długi tren, dopóki nie usiadła. Wówczas przesunął tren naprzód, zakładał go na krzyż na kolanach wielkiej pani, podsuwał jej pod nogi taboret i przyklękając na jedno kolano, umieszczał koło niej jej książęcą, hrabiowską, lub baronowską koronę, aby w danej chwili mogła natychmiast włożyć ją na głowę.

Gdy wszystkie te panie zajęły miejsca, galerya błyszczała od złota i drogich kamieni. Zdaleka można było mniemać, że to jakiś olbrzymi bukiet różnobarwnych kwiatów, połyskujący blaskiem brylantów i klejnotów.

Minęło kilka godzin oczekiwania, aż nareszcie rozległ się ogłuszający odgłos strzałów armatnich. Orszak królewski stanął przed głównym wejściem do

opactwa. Zewnątrz nastał zgiełk i okrzyki, wewnątrz przygluszony szmer, zwiastujący blizkie rozpoczęcie ceremonii koronacyjnych.

Jednak trzeba jeszcze było czekać aż król przywdzieje wspaniałą płaszcz koronacyjny, ale czekanie to ożywiało uroczyste wejście parów Anglii, z wielką pompą, odprowadzanych do miejsc im wyznaczonych, przy których leżały na taboretach ich korony. Z galerii i z balkonów pokazywano sobie książąt i hrabiów, których sławne nazwiska historia od pięciu już wieków zapisała na swoich kartach. Gdy już parowie zajęli miejsca, ukazali się najwyżsi dostojnicy kościoła, w długich bogatych szatach, w mirtach na głowach. I dla nich wyznaczone było oddzielne miejsca. Za nimi wszedł lord protektor i wielcy dygnitarze dworu, dalej rycerze w zbrojach.

Kilka chwil panowało milczenie, aż nagle odgłos trąb zachwiał całym gmachem. We drzwiach głównych ukazał się Tomek Canty, w długim płaszczu ze złotogłowiu, obłożonym granostajami. Wszyscy powstali. On wszedł na pierwszy stopień tronu, rozpoczęła się uroczystość. Opat westminsterski zaintono-

wał hymn kościelny, czystym i dźwięcznym głosem. Heroldowie ogłosili i witali nowe panowanie.

Tomek Cauty przeszedł dalsze trzy stopnie tronu, i stojąc, rozejrzał się i uklonił zgromadzonym. Wszyscy wlepili w niego oczy, zatrzymując oddech.

Tomek był bardzo, przerażająco blady; ręką przyciśniętą do piersi zdawał się chcieć stłumić silne bicie serca. Chciałby był wydrzeć je, tak boleśnie odbijało wyrzuty sumienia.

Zbliżał się najważniejszy akt. Arcybiskup Kantenburski, podniósł obu rękami koronę Anglii i trzymał ją nad głową fałszywego króla.

W tejże chwili olśniewający blask oświetlił galerię, gdyż naśladując ruch arcybiskupa, wszyscy panowie podnieśli swoje korony i trzymali nad swemi głowami.

Najłżejszy szmer nie przerwał milczenia.

Wtem nagle z głębi kościoła wysunął się i uroczystym krokiem szedł ku tronowi chłopiec, którego nikt nie widział przedtem. Był z gołą głową; miał na sobie zużytą i podartą odzież, na nogach ordynarne obuwie.

Nakazującym ruchem wyciągnął rękę ku arcybiskupowi Kantenburskiemu, i rzekł takimże głosem:

— Nie pozwalam kłaść korony Anglii na głowę tego oszusta!

W jednej chwili trzydzieści rąk wyciągnęło się, chcąc pochwycić śmiałka, gdy nagle Tomek Canty, zszedłszy ze stopni tronu, zawołał:

— Nie ważcie się go dotykać! on jest królem Anglii!

Dziwny strach ogarnął całe zgromadzenie. Wchodzono na krzesła i ławki, aby lepiej widzieć, zapytując siebie, czy to rzeczywistość, czy sen tylko. Nikt nie śmiał przemówić, wszyscy byli jakby skamienieli.

Sam nawet lord protektor osłupiał; jednak po kilku chwilach odzyskał zimną krew i pewnym głosem rzekł do otaczających:

— Uspokójcie się, panowie, wszak wiecie, że król podlega ciężkiej chorobie — pochwycić tego włóczęgę!

I znowu trzydzieści rąk się poruszyło, lecz fałszywy król, stojąc na stopniach tronu, tupnął nogą, wołając:

— Stójcie! chodzi o życie wasze!... Nie dotykajcie go, to wasz król!

Ręce opadły, wszyscy stali, jakby obezwładnieni; nikt nie odważył się postąpić kroku, wyrzec, choćby jednego słowa. Jedni drugich pytali wzrokiem; nie wiadano co począć, jak postąpić w tak niesłychanej, nieprzewidzianej okoliczności.

Nieznajomy chłopiec zbliżał się z dumnie podniesioną głową i groźnem spojrzeniem i stanął na stopniu estrady królewskiej.

• Wtedy ten, którego miano koronować, zszedł szybko ze stopni tronu i rzucił się do nóg przybyłego, mówiąc:

— Och! łaski! łaski! królu mój i panie! Pozwól, niech biedny Tomek Cauty najpierwszy przysięgnie ci wierność; odbierz swoją koronę i berło!

Oczy lorda protektora pałały gniewem; chciał przemówić, ale słowa skonały mu na ustach: stał i patrzył osłupiały z podziwienia. Dostojnicy dworscy takiegoż doznali wrażenia; spoglądali na siebie drżący i milczący. Patrzyli zdumieni na króla klęczącego przed obdartym, nieznajomym chłopcem, dumnym bez zuchwalstwa, i wszyscy jedno mieli na myśli:

— Co za szczególne, niepojęte podobieństwo!

Lord protektor, po długim namyśle, postąpił krok ku nieznanemu chłopcu, i rzekł, zwracając się do Tomka Canty:

— Racz, najjaśniejszy panie, pozwolić mi wyba-  
dać go...

— Dobrze, odpowiem ci!—rzekł wyniosłe niezna-  
jomy chłopiec.

I ksiązę zaczął wypytywać go o różne szczegóły, odnoszące się do dworu, zmarłego króla, syna jego i księżniczek. Chłopiec odpowiadał na wszystko spokojnie i bez wahania. Opisał dokładnie różne apartamenta pałacowe, apartament króla i księcia Walii, wymieniając kierunek różnych prowadzących do nich korytarzy, wyliczając przedmioty i ozdoby znajdujące się w pokojach—i o niczem nie zapomniał, nie omylił się ani razu.

— Szczególna rzecz! dziwna! niepojęta! — sze-  
ptano.

Tomek Canty wpatrywał się w niego zachwy-  
cony.

Lord protektor wstrząsał głową i wzruszał ramio-  
nami, mówiąc:

— Nie przeczę, że chłopiec ten odpowiada trafnie, ale wszystkich tych szczegółów mógł go ktoś wyuczyć, zatem nie stanowi to żadnego dowodu...

Tomek Cauty sposepniał, nadzieja go zawiodła, bo właśnie w chwili, gdy już cieszył się, że dopływa do upragnionego portu, silny podmuch wichru rzucił go na pełne morze i otwierał otchłań, w której miał zginąć król prawdziwy.

Lord protektor wpatrywał się niespokojnie w obu chłopców; w głowie jego nurtowała myśl:

— Trzeba raz rozwiązać tę niepojętą zagadkę i rozproszyć niepewność, mogącą wywołać w narodzie rozdwojenie i zachwiać tronem. Wtem przyszła mu myśl zbawcza:

— Gdzież jest wielka pieczęć? — zapytał żywo pretendenta w łachmanach. — Odpowiadaj, bo od tej odpowiedzi zależy twoje ocalenie.

Wszyscy dostojnicy koronni pamiętali dobrze owo niepojęte zniknięcie wielkiej pieczęci, o którym Tomek Cauty nic powiedzieć nie umiał. Wprawdzie tłómaczyła to poniekąd umysłowa choroba króla, objawiająca się głównie brakiem pamięci, mógł więc zapomnieć, co zrobił z wielką pieczęcią państwa. Ale co



odpowie na to pytanie ów oszust, ów czelny żebrak, który poważył się powstrzymać arcybiskupa w chwili, gdy miał ukorować króla? Jakim sposobem mógłby wiedzieć to, co samemu jedynie księciu Wallii mogło być wiadomem?

— Jakąż to genialną myśl powziął lord protektor!— myśłano, ona wykryje oszusta, dowodząc w obec przedstawicieli całej Anglii bezzasadności zuchwałych jego roszczeń i odrazu wyjaśni położenie, które przedłużając się, kompromituje dostojność i władzę królewską. Wszyscy dygnitarze odetchnęli, jak gdyby wielki ciężar spadł im z piersi.

Jakież było ich osłupienie, gdy nieznany chłopiec odrzekł pewnym głosem:

— Zaraz wam powiem.

Dworacy mimowolnie zbliżyli się do niego.

Chłopiec prostym ruchem człowieka nawykłego do rozkazywania skinął na jednego z najwyższych dygnitarzy, mówiąc:

— Lordzie Saint John, idź, proszę do mego gabinetu, tam niewiele po nad posadzką, w kącie pokoju, na lewo, naprzeciwko drzwi do przedpokoju, zobaczysz

w ścianie mały gwoździak z mosiężnym łebkiem, połóż na nim palec i naciśnij, a ściana rozstąpi się natychmiast i ukaże się skrytka, w niej znajdziesz pieczęć. Prócz mnie i nieżyjącego już robotnika, który ją urządził, nikt na świecie nie wie o istnieniu tej skrytki. Wyjmij pieczęć z kasetki i przynieś tutaj.

Słowa te i ton, jakim je wypowiedział, a więcej jeszcze pewność siebie i poufałe przemówienie do jednego z najwyższych dostojników państwa, spotęgowały jeszcze ogólne osłupienie. Lord Saint John tak był zdumiony, iż opuścił ręce i skłonił się, jakby król przemawiał do niego. Cofnął się krok w tył, chcąc spełnić polecenie, ale zastanowiwszy się, przystanął i oczami pytając Tomka Cauty.

— Wahasz się, milordzie — rzekł tenże — czy nie słyszałeś rozkazu króla?

Teraz lord Saint John schylił się prawie do ziemi; ale trudno było poznać, któremu z chłopców składał ukłon, gdyż mógł się zarówno stosować do obu dwóch.

W chwili, gdy lord Saint John się oddalił, objawił się około estrady ruch prawie niedostrzeżony, a jednak nader charakterystyczny. W pośród dostojników,

cisnących się do stóp tronu, zaczęła następować jakby atmosferyczna zamiana stanowisk, podobna do objawiającej się w kalejdoskopie, obracanym powoli, gdy barwne cząsteczki składające obraz rozpraszają się, podczas powstawania innego. Wielcy dygnitarze i dostojni panowie odsuwali się nieznacznie od Tomka Cantego i zdawali się przechylać w stronę nieznanego chłopca.

Nieznacznie bardzo jakoś zmniejszyło się kółko otaczające Tomka, i w miarę przedłużania się oczekiwania, panowie przemykali się z prawej strony na lewą, tak zręcznie, iż ani znać było, że się poruszają. Obecni spostrzegli ten ich manewr wtedy dopiero, gdy Tomek, przyodziany w królewską purpurę, pokryty brylantami i drogiemi kamieniami, stał osamotniony, ze zwieszoną głową, ze spuszczonei oczami.

Lord Saint John powrócił nareszcie;—gdy się ukazał, szepty i rozmowy zamilkły. Dreszcz przebiegił zgromadzonych, gorączka jakaś trawiła wszystkich.

Wstąpił na stopnie tronu, stanął, skłonił się i rzekł:

— Najjaśniejszy panie, znalazłem skrytkę, ale nie ma w niej pieczęci państwa.

Wybladli, przerażeni, jakby unikając zetknięcia się z dotkniętym zarazą, dworacy cofnęli się i utworzyła się próżnia w około biedaka odważającego się występować jako pretendent do tronu. W przeciągu minuty został osamotniony, jak przed chwilą Tomek Cauty: oczy wszystkich, zwrócone na niego, objawiały gniew, oburzenie i pragnienie zemsty.

Lord protektor krzyknął grzmiącym głosem:

— Wyrzucić za drzwi bezczelnego zuchwalca i ba-  
tożyć, oprowadzając po całym mieście. Żadnej litości  
dla niecnego oszusta!

Kilku z przybocznej straży posunęło się ku  
chłopcowi.

— Precz! — krzyknął Tomek Cauty, odtrącając  
ich — ktoby się odważył dotknąć go, przypłaci to  
śmiercią!

Lord protektor nie wiedział co począć. Nie mógł  
nie uszanować woli i władzy królewskiej, ani też prze-  
dłużać tak przykrej i niebezpiecznej sceny.

— To rzecz niepojęta! — krzyknął. — Można zapo-  
mnieć faktów i rzeczy nic nie znaczących, ale niepo-  
dobna, aby ktoś nie mógł przypomnieć sobie, gdzie po-

dział przedmiot tak drogocenny i ważny, wyrobiony ze szczerego złota...

Oczy Tomka zabłysły radością, poskoczył ku księciu i ujmując rękę jego, zapytał:

— Powiadasz, milordzie, że to jest coś szczerozłote i ciężkie; czy nie jest czasem płaskie, okrągłe, grube, a na wierzchu wryta jakaś postać i litery?... Więc to byłyby owa pieczęć państwa, która wam wszystkim pozawracała głowy? I czemuż nie powiedzieliście mi tego wcześniej? Już trzy tygodnie temu pytałem was co to jest—i nie odebrałem odpowiedzi. Skoro tak pragniecie wiedzieć, powiem wam, gdzie jest—ale to nie ja ją schowałem.

— Więc któż, najjaśniejszy panie?—zapytał lord protektor.

— On! Edward VI, prawowity król Anglii, i sam wam powie, gdzie ją włożył, bo gdybym ja powiedział, gdzie jest, tobyście mu nie wierzyli. Przypomnij sobie, królu, było to już w ostatniej chwili, gdy wychodziłeś z pałacu w nędznym mojem odzieniu, które rozkazałeś mi zamienić na twoje wspaniałe szaty.

Zapanowało głucho milczenie, wszyscy zwrócili oczy na nieznanego chłopca, który stał nieruchomy, ze

zwieszoną głową i zmarszczonem czołem, zatopiony w rozmyślaniu.

Była to chwila stanowcza. Jeśli sobie przypomni, wstąpi na tron, w przeciwnym razie będzie stracony w otchłań sromoty i nędzy.

Chwile upływały, a twarz króla bladła coraz więcej i przybierała wyraz smutku, przerażenia i niepokoju. 'Nareszcie ciężkie westchnienie wydarło się z jego piersi, poruszył głową i rzekł drżącym głosem:

— Doskonale pamiętam wszystko, co się wówczas działo, tego tylko w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogę. — I podnosząc głowę z godnością, spojrział na otaczających go, mówiąc:

— Milordowie i panowie! jeżeli postanowicie pozbawić króla waszego jego władzy i tronu, dlatego, że tak podrzędnej okoliczności przypomnieć sobie nie mogę, poddam się waszej woli, ale...

— Co za szaleństwo, królu mój!—krzyknął przerażony Tomek,—nic nie nagli... staraj się jeszcze przypomnieć sobie... obaj lepiej wyjdziemy na tem... Przypomnę ci, królu, wszelkie szczegóły dnia tego... Rozmawialiśmy z sobą; ja mówiłem o moich siostrach Nany i Bety... aha! przypominasz sobie, najjaśniejszy

panie... dalej o mojej babce, o naszych zabawach w Offal Court... kazałeś mi dać jeść i pić—odprawileś służbę, która mnie onieśmielała... wszak tak było?

Nieznany chłopiec słuchał, potwierdzając głową.

Zebrani wpatrywali się w wyraz ich twarzy z niewysłowionym niepokojem. Wszystko co mówił Tomek, zdawało się być niezaprzeczoną prawdą, ale pojąć nie mogli, jakim sposobem stać się mogło, aby mógł wejść do pałacu w jasny dzień, przez nikogo niespostrzeżony. Tomek mówił dalej:

— Wtedy, królu, kazałeś mi zdjąć biedne moje łachmany i włożyć piękne twoje szaty, byłem posłuszny a ty, panie, przywdziałeś moje odzienie. Poczem stanęliśmy przy sobie i byliśmy tak do siebie podobni, iż sami siebie poznać nie mogliśmy.

— Aha! widzisz, królu, że przypominasz sobie!.. Po chwili ze stołu wzięłeś coś okrągłego, grubego i płaskiego, zrobione ze złota, z literami i jakąś postacią i powiodłeś wzrokiem po pokoju, jakby upatrując, gdzie schować ów przedmiot zwany, jak się teraz dowiedziałem pieczęcią państwa... i...

— Dość! dość! — zawołał żywo chłopiec w łachmanach. — Proszę cię, mój dobry Saint John, wróć

jeszcze do mego gabinetu, na bocznej ścianie zawieszona jest zbroja, a w jednej z rękawic znajdziesz pieczęć.

— Tak!... tak! — krzyknął uradowany Tomek, — ach! jakże ja się cieszę! Zostaniesz nareszcie królem; ujmiesz w ręce to należące do ciebie berło, a ja wrócę do matki i do sióstr. O! śpiesz się, lordzie Saint John, leć jak na skrzydłach!

Niecierpliwe rozdrażnienie ogarniało obecnych, i nic dziwnego, był to fakt tak niesłychany, tak niebywały dotąd. Zapomniano o uszanowaniu należnem świętemu miejscu; rozprawiano głośno i pocichu; po raz pierwszy od powstania królestwa Anglii a może i po raz ostatni, magnaterya i lud zapomnieli, jak wielki przedział stanowią między nimi wysokie przywileje i stopnie społeczne. Wszyscy bez wyjątku cisnęli się ku estradzie królewskiej, potracano się i przepychano, jakby na moście londyńskim. A cóż się dopiero działo, gdy lord Saint John powrócił, trzymając w podniesionych nad głową rękach wielką pieczęć państwa.

W tej chwili rozległ się krzyk, który zatrzęsał murami opectwa:



— Niech żyje król!

Rozległy się w świątyni zagłuszające oklaski, tyśiące rąk i chustek poruszało się w przestrzeni, a wśród tego rozszalałego tłumu, chłopiec w lachmanach stojący na estradzie patrzył uszczęśliwiony na wysokich dostojników, magnatów i wasali kornie zginających przed nim kolana, oraz na przyklaskujący mu tłum.

Gdy burza oklasków i wiwatów ucichła nareszcie i klęczący powstali, Tomek Cauty zawołał:

— A teraz, królu, przywdziej szaty odpowiednie twemu majestatowi, a zwróć biednemu Tomkowi resztę jego nędznych lachmanów.

Lord protektor skinął na straż i rzekł, wskazując Tomka:

— Pochwycić go i wtrącić do więzienia!

Ale nowy, prawdziwy król skinął i rzekł surowo:

— Wstrzymaj się, milordzie, inna jest wola nasza! Bez niego nie odzyskalibyśmy naszej korony. Niech nikt nie waży go się dotknąć—zostaje on pod naszą obroną... Co do ciebie, lordzie protektorze, jesteś niewdzięczny dla tego biednego niewinnego chłopca, wszak on to zrobił cię księciem.

Protector mocno się zaczerwienił.

— Zrobił cię księciem, ale sam nie był królem, a więc tytuł twój jest nieprawomocny. Jutro prosię go będziesz, aby się wstawił za tobą; jeśli on zechce, będziesz księciem, w przeciwnym razie, wrócisz do skromnego tytułu hrabiego.

Lord cofnął się zawstydzony. Król, zwracając się do Tomka, rzekł mu dobroliwie:

— Jak mogłeś, biedny chłopcze, pamiętać o tym szczególe, gdzie schowałem pieczęć, który mnie wyszedł z pamięci?

— Nie mogłem zapomnieć, najjaśniejszy panie, gdyż posługiwałem się nią codziennie.

— Codziennie? Jakże więc mogłeś nie wiedzieć, gdzie była?

— Nie wiedziałem tylko, co to jest, nikt mi tego nie powiedział.

— I do czegoż ci służyła?

Tomek zaczerwienił się, jak dziecko schwywane na przewinieniu, spuścił oczy i milczał.

— Nie obawiaj się, biedny chłopczyno, powiedz śmiało, do czego posługiwałaś się wielką pieczęcią Anglii?

Tomek wyszeptał nieśmiało i bojaźliwie:

— Tłukłem sobie nią orzechy.

Głośny wybuch śmiechu powitał naiwne to wyznanie, które samo już przekonywało, że Tomek nie jest prawowitym następcą tronu.

Król przywdział płaszcz królewski, zdjęty z ramion Tomka, płaszcz ten przysłonił nędzną odzież jaką miał na sobie i rozpoczęto obrządek koronacyi.

Znowu zapanowała cisza; wszyscy zajęli wyznaczone sobie miejsca.

Arcybiskup namaścił króla i włożył mu koronę na głowę. Zewnątrz zagrzmiały salwy armatnie.

Tysiące ust rozpowiadało radosną wiadomość. Edward VI zasiadł na tronie Henryka VIII.

---

## ROZDZIAŁ IX.

---

W kilka dni do komnaty królewskiej szambelan służbowy wprowadził Tomka Cauty, ubranego skromnie ale elegancko. Doszedłszy do tronu, ukląkł przed królem.

Edward VI rzekł do niego:

— Kazałem zdać sobie sprawę z postępowania twego od chwili, gdy pozostałeś w pałacu, i wszystko przemawia za tobą. Rządziłeś państwem dobrotliwie i łagodnie, a wyszedłszy ztąd, zająłeś się odszukaniem matki i sióstr, i kochasz ich, jak gdy byłeś biedakiem. To dobrze, bądź spokojny, król twój zajmie się ich losem. Milordowie i panowie i wszyscy, którzy sły-



Przebrany książe wśród włóczęgów i robotników oczekujących  
na zajęcie.

szycie te słowa moje, macie wiedzieć, że odtąd wszystkie dzieci przyjmowane w Przytułku, żywione tam i utrzymywane z łaski i dobrodziejstwa zmarłego króla, ojca mego, mają otrzymywać tam nie tylko pożywienie dla ciała, ale także pokarm dla dusz i umysłów. Chłopiec, którego tu widzicie, zamieszka w tymże przytułku, a następnie zostanie pierwszym jego dyrektorem. A ponieważ był królem, słuszna jest, aby od dawano mu większe honory, niż jakimubądź najpierwszemu panu w królestwie. Przypatrzcie się zatem i zachowajcie w pamięci dzisiejszy jego ubiór, gdyż odtąd nikomu prócz niego nie będzie wolno go nosić: jest to wyłączne jego prawo i przywilej. Aby zaś lud mój wiedział i nigdy nie zapomniał o tem, że chłopiec ten był królem czas jakiś, nadaje mu więc prawo do ogólnego uszanowania, i każdy obowiązany jest odkryć głowę i składać mu najniższy ukłon, jaki składa się monarchom. Zostaje odtąd pod protekcją tronu i pod opieką korony, której blask pada na niego, i wszyscy będą znać go i nadawać mu tytuł przysługujący synom książąt.

Tomek przyklęknął i ucałował rękę króla, poczem opuścił pałac.

Pobiegł ucałować ręce matki i uściskać siostry, opowiedział im postanowienie królewskie, i szczęśliwą i nieprzewidzianą zmianę położenia. Płakały z radości, najwięcej jednak cieszyło je to, że go odzyskały i już się z nim nie rozłączą.

---

## EPILOG.

---

Król do końca życia lubił opowiadać swoje przygody, od chwili, gdy został tak silnie uderzony w plecy przez żołnierza stojącego na straży przy bramie pałacowej, aż do owej nocy, gdy przesunawszy się nieznacznie przez tłum robotników zajętych przygotowaniami do uroczystości koronacyjnej, wszedł do kościoła opactwa Westminster, i ukrywszy się przy grobie Edwarda Wyznawcy, zasnął tak twardo, iż odudził się dopiero w chwili, gdy arcybiskup Kanterbury miał włożyć koronę na głowę Tomka Cauty.

Król nie przestawał zapewniać, że wspomnienie doznanych przygód staje się dla niego nieocenioną



i zbawienną nauką, z której zawsze korzystać będzie dla dobra i szczęścia swego ludu, dodając: iż mając ciągle na myśli, co sam przecierpiał oraz to, co cierpią i wycierpieli inni, litość i współczucie stają się w sercu jego nigdy nieustającym źródłem sprawiedliwości i pobłażliwości.

Tomek Cauty dożył bardzo późnego wieku. Przy końcu życia był to piękny starzec z białymi jak śnieg włosami i długą białą brodą; twarz jego tchnęła łagodnością i dobrocią. Do końca życia oddawano mu nadane przez króla honory i zaszczyty. Wszyscy odkrywali przed nim głowy, gdyż wyróżniający się jego ubiór przypominał wszystkim, iż czas jakiś był królem. Gdy szedł ulicą, lud rozstępował się przed nim z uszanowaniem; matki pokazywały go dzieciom, mówiąc:

— Odkryj głowę, „idzie pupil króla!“

I mężczyźni i dzieci odkrywali głowy, kobiety przystawały, a Tomek Cauty dziękował z uśmiechem kochającemu go ludowi, który i on kochał szczerze.

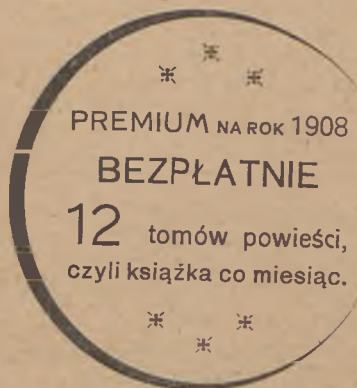
KONIEC.





# „PRZYJACIEL DZIECI”

Pismo tygodniowe ilustrowane, nauce  
≡ i rozrywce młodzieży poświęcone. ≡



Wszystkie tomy wychodzą w ozdobnej oprawie za którą nadsyłać należy po kop. 15 od każdego tomu.

Cena tych książek dla nieprenumerujących „Przyjaciela Dzieci” wynosić będzie w handlu księgarskim kop. 60 za egzemplarz, czyli rub. 7.20 za tomów 12.

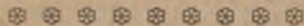
**PRZYJACIEL DZIECI**  
w części literackiej zawiera: opowiadania historyczne z podróży, po-

wieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiednie dla umysłów młodocianych.

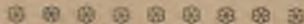
Redaktor JAN SKIWSKI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie  
kwartalnie rub. 1.—  
rocznie rub. 4.—

Z przesyłką pocztową  
kwartalnie rub. 1.25,  
rocznie rub. 5.—



Kantor Prenumeraty  
HOŻA 41.



# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

— PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIEŃ —



## TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

pomieszcza: powieści, nowele, sprawozdania, krytyki literackie, artystyczne i teatralne, korespondencye, kroniki tygodniowe i t. d. W każdym numerze dział praktyczny pod tyt. **PORADNIK DLA KOBIEŃ**, obejmujący rady i wskazówki z dziedziny higieny, pedagogiki, gospodarstwa domowego etc. etc. Co tydzień

**RYCINA KOLOROWANA MÓD PARYSKICH** niezależnie od stałego dodatku z wzorami mód i robót kobiecych. Co miesiąc **WIELKA TABLICA Z KROJAMI** i korespondencya z Paryża. Kilka razy do roku **FORMY Z BIBUŁKI**.

Redaktor  
**JAN SKIWSKI.**

PRENUMERATA  
w WARSZAWIE:

kwartalnie rb. 1, rocznie rb. 4.

Z PRZESYŁKĄ  
POCZTOWĄ:

kwartalnie rb. 1.25, rocznie rb. 5.



KANTOR  
PRENUMERATY  
HOŻA 41.





160 —

574312

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14

111070